



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80. W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitzgera i Spół., kwartal. 5 marek

PRAWDA W WYCHOWANIU.

II.

Prawda w wychowaniu musi być przede wszystkim prawdą w życiu rodziców — ich uczciwą odwagą w rządzeniu się zasadą, która przedstawia im prawdę rzeczywistą, od żadnych pobocznych względów niezależnej dostojności ludzkiej. Jak sztucznie wystawne i na pozorach tylko nieposiadanego mienia oparte życie rodziców, uczy dzieci przy pierwszym na świat spojrzeniu zmiątnięcia się z prawdą i wprowadza im w umysł fałszywe to pojęcie, że majątek może stanowić o godności człowieka; jak hypokryzja, udająca wypełnienie nieposiadanych cnót domowych i publicznych, zasiewa ziarno kłamstwa w pierś młodą, tak trzeba się pilnować we wszystkich stosunkach naszych, aby życie otaczające dziecko było żywą ilustracją wszechstronnej tu zasady moralnej. Czy, na przykład, zda się na co mówić istocie młodej, która o życiu nic jeszcze nie wie i wszystkiego dopiero uczyć się musi, o czci prawdy, o osobistej godności naszej, jeżeli ci, którzy są tu nauczycielami najpierwsi: ojciec, matka, z prawdą zmiąć się będą, — będą się uniazać, więc ponizają wobec moźnych, na drabinie społecznej wyżej stojących ludzi? Taksamo dzieje się z nauką na temat miłosierdzia, miłości bliźniego, obowiązków międzyludzkich wspierania się wzajemnego i braterstwa ludzi. Zamknięta w słowach, do słów jedynie ograniczona, nietylko nie potrafi ożywić w sercu dziecka tych mocy, których tu potrzeba, aby człowiek zdolnym był następnie wzruszać się mocno, czuć gorąco, ale, przeciwnie, sprowadza ten skutek nieszczęsny, że albo dzie-

ko uzna rodziców winnymi nie spełniania tej zasadniczej cnoty ludzkości i szacunek swój im odbierze, a okrutny, okrutny to jest dramat rodzinny, albo powie sobie cynicznie, iż w życiu co innego się mówi, a co innego czyni. W każdym razie stosunek taki myśli dziecka do wpływów wychowania jest nieszczęściem i zmazaniem wszystkich, uszlachetniających, podnoszących wychowania tego oddziaływań.

Prawda, uczyniona moralną podstawą życia, daje nam to dobro najwyższe, które się zowie spokojem. Jesteśmy w zgodzie ze sobą i z ludźmi, bo nie ukrywamy nic i z niczem też strzedz się przed wzrokiem bliźnich naszych nie potrzebujemy, i przekazać to dziecku, znaczy nietylko uczynić je uczciwym, ale i szczęśliwym człowiekiem. Trzeba też usilnie pilnować w wychowaniu, aby żywa wyobraźnia młodego umysłu nie unosiła dzieci w zamiarach tworzonych dalej, niż zająć mogą. Wysoki ideał pragnień szlachetnych w sobie nosić i, przed oczyma duszy go mając, dążyć ku niemu całą siłą woli i wszelkim możliwym uczynkiem życia — każdym życia tego dniem przeżytym, jest najpiękniejszym przywilejem młodości, ale dla tego właśnie, aby człowiek mógł go osiąść, w życiu uchwycić, należy pilnować, aby dziecko młode uczyło się zawczasu dotrzymywać przyrzeczeń, czynionych nietylko ludziom, ale i duszy własnej. Można życie marnie przeżyć, na tworzonych projektach, czynionych sobie obietnic mrzonki rozstrząść i to przyszłowie francuzkie, które mówi, że piekło jest brukowane zamiarami dobrymi, do takiego stanu ducha się odnosi. Kiedy raz przyjęty obowiązek do spełnienia powinności wzywa, kiedy sumienie nakazuje to nam, człowiek jeszcze w zasadzie prawu uczciwości posłuszny — jeszcze stający po życia stronie prawej, nie śmie od zobowiązań swoich wprost się uchylić, ale jeżeli brakuje mu tu szczerzej i prawdziwej woli dobrej, czyni to leniwie, opieszale. Kłamie jeszcze sam przed sobą chęci, któ-

rych już niema, aby sumienie swoje uspić, wyrzuty jego zagłuszyć. Najpierw też wykonanie nakazanego ma tu czynu na później odkłada, następnie brak prawdziwie dobrej chęci ukazuje mu przez powiększające szkło zamaskowanej złej woli ciężary, trudności przedsięwzięcia, i zamiar dobry zostaje w tyle poza nami, stając się we wspomnieniach naszych rzadziej wyrzutem, niż tłumaczeniem się wykrętnem sumienia naszego, żeśmy mimo woli i chęci naszej tej rzeczy dobrej dokonać nie zdołali.

Należy też najpilniej strzedz młodość, aby nie usypiała sobie w ten sposób sumienia, bo jest tu fałsz i nędza tchórzliwego, małoduszego spuszczenia oczu przed prawdą. Kto ludzkość i istnienie człowieka na ziemi sądzi z wyższego, dostojniejszego punktu przeznaczeń jego, niż zajmowanie pewnego miejsca w szeregu istot organicznych, ten musi uznać, że prawdą jego życia jest stan moralny, niedzielony z żadnem innem, na ziemi żyjącem stworzeniem. Jak tylko on jeden, głowę od ziemi ku niebu podnosząc, oblicza Boga tam szuka, w światła niebieskie patrzy, tak on tylko mając przed oczyma pewien wzór niecielesnego, niematerialnego piękna, moralny ład, moralny porządek w życie swoje wprowadza. Dziecko już temu ulegać musi i ponieważ chowa się do tego stanu istnienia, więc prawdą jego życia powinny być te wysokie ideały, które ma ono z czasem w kształty pewnych życiowych zadań ujmować i odziewać ciałem czynów spełnianych. Wychowanie powinno go zatem już nauczać, że obok wiary w Boga jest dana ludzkości wiara w wyższe, szlachetniejsze, niż innych twórców ziemskich przeznaczenie człowieka: wiara w nieśmiertelność coraz-to podnioślejszych jego pragnień doskonałości — w drabinę tego snu Jakubowego, po której jedne duchy z niebios na ziemię schodzą, a drugie z ziemi ku niebu idą: wiara w wolną wolę człowieka, zdolnego zawsze zbawić się i wykupić od wszystkich nędz ludzkość trą-

piących — podźwignąć się nad wszelkie upadki, jeżeli tylko zechce tego szczerze, prawdziwie i gorąco.

Skoro wychowanie prawdę tę w umysł, w przekonanie rozwijającej się do życia istoty wprowadzi — da jej świadomość sił posiadanych, już ją usamowolni do życia wyższego niżeli to, które się do koła niej w naturze rozwija, i w takim też znaczeniu woła poeta, że nad wszelkie piękno na ziemi obszarze są najpiękniejsze bliźnich naszych twarze. Człowiek jedynie świadomym jest prawdy istnienia swojego na ziemi i do wspólnej skarbnicy dobra ogólnego tylko on jeden niematerialny swój zarobek dorzuci i tworzy postępek. Każdy dobry, szlachetny czyn jednego człowieka dostaje się wszystkim przez podniesienie idei, której jest wcieleniem, i w taki-to sposób każde życie uczciwe jest świadectwem składaniem prawdziwej, a wychowanie, które, z summy tak nagromadzonego dobra ogólnego czerpiąc, ducha młodej istoty uszlachetnia przez zaszczerpanie jej w umysł, w serce, wzniosłych pojęć i szlachetnych uczuć, które są prawdą naszego istnienia, panowanie tej prawdy wśród życia rozszerza.

Drogę prawdy toruje każdy człowiek, który uczciwie żyje, drogę prawdy torują wszyscy rodzice, którzy dzieci swoje wedle tak pojętych obowiązków życia wychowują. Jaki zawód ten przyszły człowiek w życiu sobie obierze, wszystko to jedno. Byłoby tylko pozostał w zgodzie z zasadniczą życia ideą, na każdym stanowisku pracy może pozyskać szacunek współbraci i tę odrobinę szczęścia, jaka się ludziom na ziemi dostaje. Wielką prawdą życia naszego jest to właśnie, że szczęście owo istnieje i może być udziałem każdego, kto potrafi oprzeć je o tę podstawę niezachwianą wewnętrznego spokoju, który jest szczęścia najważniejszą częścią składową, jaką daje nam po obrachunku z sumieniem, sumienia tego świadectwo, że nie przენiewierzyliśmy się prawdziwie przeznaczeń człowieka na ziemi. Można wiele bolesnych strat w życiu doznać, można wiele przecierpieć i z najdroższymi nam ukochaniami życia swego się rozstać, a jeszcze zupełnie nieszczęśliwymi nie być.

Takie przekonanie możności szczęścia, od wypadków życia niezależnego i opartego na stanie naszego własnego serca, przez wychowanie młodej istocie wszczepić, jest to najważniejszą prawdę życia rosnącemu doń człowiekowi na skarb żywota dać i zabezpieczyć go od niepokojów i lęków, jakie przechodzić musi ten, kto, chcąc drogę każdemu szczęście uchwycić, nie wie: w którą stronę się zwrócić — ku czemu ręce wyciągnąć? Takiego szczęścia pragnienie nie uczyni też młodości samolubną w gonieniu za nim — nie stanie się dlań bańką tęczowej ułudy tych różnych kłamstw, które ukazują się nieraz niedoświadczonym, nieznającym dostatecznie życia, i jak ogniki nocne wywodzą oszukanych na manowce, z kąd nieraz nie wraca się już nigdy na prostą, do prawdziwego celu życia wiodącą drogę.

Wiele znikomych kształtów, które były złudzeniami szczęścia, rozwiewa się nam przed oczyma i opuszcza zawiedzionych, ale to, co jest prawdą życia ludzkiego, jak zadowolenie serca, na uczciwym wypełnianiu obowiązków swoich, zadań życia oparte, co jest w następstwie spokoju sumienia — przeświadczeniem, że nie jesteśmy na ziemi naszej tylko zjadaczami chleba: żeśmy przyłożyli cegiełkę jakąś do gmachu ogólnego dobra, to zostaje z nami nazawsze i panuje nad złą i dobrą dola, nad wszelką zmiennością ludzkiego bytu na ziemi i daje nam tę stałą pogodę umysłu, ten cichy spokój serca, który jest pierwszą i niezbędną szczęścia podstawą na każdym szczeblu, na każdej wyżynie życia ludzkiego. I gdy wychowanie potrafi wprowadzić w umysły takie pojęcie szczęścia — gdy daje je młodości, gorąco rwącej się do życia i wyciągającej ręce do wielu blasków jego złudnych, zadanie jego już spełnione: ukazało ono drogę gdzie jest niezawodna, nigdy nie myląca prawda.

M. Ilnicka.

HRYWDA.

POWIEŚĆ

przez

Maryę Rodziewicz.

(Dalszy ciąg).

Zaczął się więc przepychać do Hrywdy.

Wół był na miejscu u woza. Kilku żydów targowało go — dotykało, obchodziło ze wszech stron.

Jeden ciągnął go za ogon, drugi po raz setny w zęby zaglądał, a wszyscy ganili na wyścigi.

Sydor, stary ewik, nie odzywał się ani słowem. Wyczerpawszy swe środki, żydzi przypuszczali szturm.

— Ile?

— Sorok! — lakonicznie mówił Sydor.

— Czego sorok! Złotych?

— Rubli!

— Nu! To u niego złoto w brzuchu! On „kły-szawy“, on sto lat ma — on „tref“. Dam 25. Chcesz — bierz! I wyciągała się obrośnięta, chuda łapa. Ale chłop swojej nie podawał.

— Nu, i kwartę „baryszu“.

— Sorok — i garniec baryszu!

— Żydzi przyskakiwali i odskakiwali, odchodzili i wracali, pluli niby z pogardą — pokazywali pieniądze.

I słychać było wśród targu przyjacielskie odzwany:

— Ny — ty swinia muzyk.

— Ty parszywy — niechrzczeniec!

Sacharko z Tatianą opodal przebiegali ceberki i dzieje u bednarza; w wozie już były garnki i dwa żelaza do sochy.

Kalenik słuchał, zachwycony targiem, gdy go ktoś wołać począł.

Obejrzał się: Sylukowa go postrzegła.

Wrócił tedy na swe pierwsze stanowisko. Sprzedała owce, kupiła kozuch, chustkę ciepłą, necki, ale tymczasem podczas gdy chodziła, znikł z wozu worek z obrokiem. Biadała okropnie.

— Tak! to sierocie. Niema kogo przy wozie zostawić! Oj, moja dola!

— Kupuj wołu! — szepnął Kalenik. — Żydy targują. Daj trzydzieści rubli — i dwa garnce baryszu! Boh me — wart!

— Pójdę — a ty przy wozie zostań!

— Tylkoż bezemnie nie pijcie!

— Jakże! Tobie będzie cała kwarta!

Poszła do Sydora. Zgiełk się wzmógł gorszy, ale dyszkant baby opanował żydów i starego. Po godzinie wróciła z Sydorem i z wołem. Na widok synowca stary się zaśmiał.

Postronek kobiecie oddał w ręce i parobka ku niej popchnął.

— Weźże odemnie i byka i kij do jego popędzania! — zawołał.

Kalenik wpadł na wdowę i obalił ją na ziemię. Zrobił się tumult i śmiech okropny. Najszybciej śmiała się Sylukowa.

Zabłocił się jej kozuch i przekręciła namitka, ale ona zanosila się od śmiechu, szturchając w bok Kalenika.

— Nu, nu — tobie on kij, a mnie on węgieł!

Nacie pieniądze!

Poszli do karczmy całą gromadą. Znowu tę scenę widziała Łucysia zdala.

— Maty! wypijmy po czarce! — poprosiła.

Weszły więc i one.

Hubenie pili z wdową. Ta już pijaną była i tańczyła, pokrzykując.

Kalenika też rozebrała wódka.

Na widok Makuszanek, wesele przyszło mu do głowy, bo jął śpiewać:

Oj świt wstępuje,
Gwiazdy zajmują.

Łucysię strach zdjął, i żal niepojęty. Nie dopiła czarki — i traciła matkę.

Wyszły, ale w tem Kalenika coś tknęło: i wyszedł także.

Kobiety, obładowane, szły powoli: wnet je napędził.

Już się też pod wieczór miało i powoli barykady z wozów się rozluźniały. Stateczniejsi rozjeżdżali się do domów.

Karczmy za to nie mieściły ludzi. Kupna dopiero teraz zapijano, ostatnie grosze rzucano na stoły i rozhowy szerokie prowadzono o tej massie wrażeń odczuty i rzeczy widzianych.

Rozhowy te i opowieści starczą na rok cały, aż do przyszłego jarmarku.

Opróżniał się rynek z żywego pomostu i dopiero teraz ze wszech stron ukazywały się na nim kozy i krowy żydowskie, zbierając siano; spuszczały się wrony, przeszukując, jak gałganiarki, kupy śmiecia; i urwisy mieszczańskie snuli się, wśród wozów, ściągając z nich, gdzie się co dało. Po karczmach już się zabijano, lub walono pod ławy. Kobiety gwałtem wyciągały chłopów. Zgiełk rósł w miarę zstępujących ciemności.

Droga znowu była zatłoczona wozami, ale deszcz i błoto starły świeżość odzieży i humory były posępne.

Okazywały się złe sprzedaże i nabytki, żal po wydanym groszu, nuda pijacka; powstawały kłótnie, spory, łajania.

Zrzadka jakiś podochocony urlopnik poczynął piosenkę hulaszczą, lub dziewczyna, zaczepiona brutalnie, krzyknęła, niby przerażona.

Czasem pijak się rozpędzał, okładając kijem klacz głodną; — wyprzedzał innych, wywracał, obrywał ociosy — wtedy sypały się przekleństwa i bitwa na bicze.

Deszczyk ciągle mżył i ciemności gęstniały. Brzegiem zagonów ścieżyną, ubitą tysiącem stóp, dreptały Makuszanki.

Trzewiki zdjęły zaraz przy końcu miasteczka, fartuchami opięły głowy i szły prędko. Stara gadała z rozkoszą o cudach widzianych, ale jej nikt nie pomagał.

Łucysia i idący za nią Kalenik nie mówili nic. Myślałby ktoś obcy, że się wcale nie znają.

Tak doszli do pierwszych chat, opuścili drogę i poza stodołami, wzdłuż płotów, dążyły do swej chatyny.

Wtedy dopiero Kalenik usta otworzył i streścił swe wrażenia i obserwacje:

— Powiedzieć prawdę — piękniejszego wołu, jak mój hodowaniec, nie było na jarmarku! Ot co!

O tem widocznie myślał całą drogę.

Od podwórza Makuszanek Krasia ich witała przeciągłym rykiem. Kobieta przyspieszyła kroku, młodzi zwolnili, i oto znaleźli się sami przy płocie.

Łucysia chciała przeskoczyć, ale parobek ją zatrzymał.

— Łucys — taki gościńca odemnie weź! Na! Podał jej obwarzanek: wzięła w milczeniu.

— Zaraz po Bogosławie swaty przysię.

— Mutysz!

— Boh me! — potwierdził, w pierś się bijąc.

— Już pieniądze zebrał i wieprz gładki. Nu, powiedz — co tobie?

— Ja nie wiem! Tak mnie coś nudno! Ogdajszej nocy przysniło się złe. Jakby to Lach czarny przyszedł do mnie, taj mówi: — Gotuj się na wesele Łucys; ja ci ślub dam, ino nie w kościele ze świecami, a na Kniazia z krzyżami!

Liche mnie czeka, widno!

— Tfu, mara! Czegobys umierała?! Takes się przez to lato rozrosła, a żadnego moru na okoliczność nie słychać. Na, jedz, taj bodnie szykuj!

Dał jej drugi obwarzanek, a ona do fartucha sięgnęła i poczęstowała Kalenika garścią cebuli. Jedli, głośno mlaskając ustami.

Wtem krok czyjs ich spłoszył. Dziewczyna wskoczyła na podwórze, Kalenik odszedł. U Hu-

beniów w chacie tylko dzieci były. Na pastwisku deszcz je przejął do kości. Sak w starej czapce ojca, z biczem nieodstępnym siedział na przypiecku, oczy swe dziecinne, a już złe i krzywe, wlepiając przed siebie, w rozmyślanie nad jakąś psotą. Mokrenia, rozczochrana i brudna, jak sierka, opatrywała okaleczoną okropnie nogę.

— Pozapędzaliście bydło? — spytał Kalenik.

— A cóż! — odparł Sak.

Parobek oddał im dwa pozostałe obwarzanki. Rzucili się na specyale i zaraz się pobili, to śmiejąc się, to wyjąc dziko.

Gospodyni nie było z powrotem, więc i o wieczery nikt nie pomyślał.

Zjadł Kalenik kawał chleba, popił wodą, zdjął przemokłe postole i legł spać. Roily mu się kożuchy, buty, czapki, cała widziana świetność, gdy go nagle zgiełk obudził.

Wstał przerażony. To Sacharko pijany bił Tatianę, włócząc ją za włosy po chacie. Lampka blaszana, stojąca na brzegu komina, oświeślała ponuro ten obraz. Kiryk się na to gapił, a spod pieca wзираły dzieci — jak z fortecy.

— O co to oni się swarzą? — spytał szkolnika Kalenik.

— O wieprza, że gdzieś zginął!

— Nu, to trzeba iść szukać!

— Cyt! — siedź cicho! Wieprz w chlewie: ja umyślnie tak powiedział, żeby on ją nabił.

— Czy ty zwaryował?! —

— A na co ona, szelma, powiedziała Sylukowej, że ja worek z obrokiem wziął.

— Nu, i odebrali?

— Ale, baba jeszcze mnie bić chciała!

— Aaa—nie udało się! — zamruczał Kalenik, a potem dodał — a jak zobaczę, że wieprz jest, to na ciebie się zwala.

— Nie bój się: ja go Sylukowej wpuszczę w kapustę: to jutro Sacharko jeszcze jej doda!

— A diad'ko gdzie?

— Na piecu — bestya śpi! Co nam kieliszek doszedł, to jemu dwa.

Tymczasem Sacharko się zmęczył i bić przestał, ale i kobieta leżała jak nieżywa. Kalenik, wywiadawszy się o wszystko, a senny, napowrót się ułożył. Kiryk wysliznął się z chaty. Cisza przerywana stękanem pijanych i Tatiany zapadła nad izbą, wraz z ciemnością, bo i lampka, wyzionawszy ostatni słup dymu, zgasła. Tak się ów „Czesnejko“ zakończył — pierwszy na „własnym“ Tatiany. Nazajutrz pod wieczór rozpowiadała o tem przez płot Maryi Hucowej, pokazując sińce.

— Nieszczęsna moja głowa! Już teraz mało który dzień mam spokojny! — mówiła. — O byle co bije, nie patrząc gdzie: w piersi, w głowę. Już mi z tego bólu kołtun zwijać się zaczął. Musi i dziecka nie urodzić! A taki mój, że do pół śmierci zabija.

Hucowa, z małym Michałkiem na ręku, zdrowa, szanowana, oburzała się okropnie.

— Ta jego rzucić do licha! U ojca cię przyjmą. Toż ty tu bez pory umrzesz.

Ale Tatiana przeczyła głową:

— Nie pójdę. Niechaj zabije, nie pójdę. Nie dospałam, nie dojadłam; takiego wieprza latem upałam, jak żrebie.

Niedoczekanie jego, żeby tyle mięsa i słoniny sam zjadł, a ja nie!

A len? Jak żyto wysoki, a cienki! Niedoczekanie jego, żeby on go sprzedał! Taki zostanę, jemu na złość — na zimę.

Została tedy w tem piekle, gorszem każdego dnia. Sacharko z sochą we dworze zarabiał. Sydor za pieniądze otrzymane za wołu drzewo na chlew kupił. Kiryk drwa do dworu woził.

Zarobek więc był, ale stało się pewnej Niedzieli, po rozplacie, że tylko Kalenik swe pieniądze gospodarzowi odniósł. Synowie wrócili ledwie wieczorem, pijani.

Zaczęła się kłótnia.

— Albo oddacie pieniądze, albo jutro nie dam ni sochy, ni wozu! — krzyczał stary.

— Ale, nie dasz! — burknął Kiryk, — będzie ciebie kto prosił! Wolno tobie pić, wolno, i nam!

— Młecz, szczeniaku!

— Młecz, ty sam, stary psie!

Sydor uderzył szkolnika, ten go pchnął.

Sacharko tedy ujął się za brata.

— Ty, stary pijanico! Siedź cicho — taj Bogu dziękuj, że ci chleb dajemy! Jak dokuczysz — to precz wygonim! W „starce“ idź — miejsca nam nie zajmuj!

Sydor nagle umilkł. Znać, że coś w głowie sumował.

Nazajutrz, gdy synowie po sprzężaj szli, drzwi im od chlewu zastąpił.

— Precz! — krzyknął, nie dam!

Pierwszy znowu Kiryk go trącił.

Gdy ojciec zaczął ich łajać — skoczył i Sacharko, porwał starego za włosy rzucił sobie pod nogi i pięściami okładał, a tymczasem Kiryk klacz spokojnie do wozu zaprzęgał.

Na krzyk starego zbiegli się ludzie i odciągnęli Sacharko.

Kiryk na wóz siadł i śmiał się.

— Niechaj bije! Jak ojca wytłuc, to dobra pszenica urodzi! — rzekł, wyjeżdżając na ulicę.

Ten i ów z chłopów zaśmiał się, jak z najlepszego konceptu.

To był pierwszy objaw, że Sydor dzieci na ludzi pohodował, że parobków ma, a nie chłopów, że go już mogą zastąpić.

Odtąd, choć spokój pozorny wrócił, ster wydarto z rąk starego. Począł się też w robocie opuszczać, w karczmie po całych dniach przesadywał. Przepijał pieniądze, potem niósł, co porwał w chacie. Kradł u synów i kradł po wsi, dla arendarza.

Wogóle cała wieś kradła i nikt tego tak bardzo nie brał do serca. Poszkodowany wetował swą stratę u sąsiada; — po tygodniu przechwalano się już z tych czynów bohaterkich. Złapani na gorącym uczynku grozili czarami lub podpaleniem, więc go puszczano na swobodę, byle lichu zażegnać.

Do sądów udawali się tylko bardzo naiwni, albo pieniacze z professyi. Sprawy takie kończono w tej karczmie, którą stała bliżej gminy. Rzadko który złodziej, nowicysz, lub potulny, otrzymywał bastonadę.

Najgorzej, jak zwykle, psocili pastuchy. Teraz, jesienią, gdy paszy była obfitość, gospodarze nie paśli wołów osobiście i pojedynczo.

Wypędzano je gromadnie — „na doświtki“. Zwykle pastuszki — chłopcy i dziewczęta — zbierali się w jeden tabun, spędzali woły do jednego gospodarza i, czekając świtu, baraszkowali na sianie w odrynie.

Na swawole te nikt nie zwracał uwagi. Młódz rozwydrzona była okropnie i nikt starszych, ani uważał, ani słuchał.

Codzienne te bezceństwa należały do porządku, do tej pory roku, do życia bieżącego wsi.

Pewnej takiej nocy Kiryk przyszedł ostatni do kompanii.

Zmarudził około wozu u Czechów, zanim zeń zdjął żelazne obręcze, potem zanim swój łup u siebie w chlewie starannie ukrył pod nawozem.

Wpadł do rówieśników z gotowym projektem.

— Wiecie, chłopcy, gdzie na dziś pasza?

— W kapustach!

— Nie. W konieczynie dworskiej.

— A gdzież onal! Toż latem skosili i zorali.

— Aha — a nasienna?

— A, prawda! I tę skosili onegdaj.

— Nu, to na pokosy.

— Wal na pokosy!

Konieczyna ta daleko była od dworu, więc ją stróż rzadko odwiedzał.

Tej nocy jednak coś go tknęło.

Zebrał się i poszedł, wzięwszy sobie trzech Huców do pomocy.

Nie udał się projekt Kiryka, nie dotrzymała mu drużyna, gdy chciał odbijać bydło.

Zbito go okropnie i popędzono bydło do dworu.

Nazajutrz rozpoczęła się processya delinkwentów do pana. Myślano, jak zwykle, słomą się wykręcić.

— Z przypadku weszło! Dzieciuchy się pospały! Wilk rozegnał. Nasze woły nie jedzą konieczyny! Z rodu nie jedli! Ten jeden raz darujcie!

Ale pan się zaważył. Raz pierwszy kazał płacić wedle tacy: po rublu od sztuki, był głuchy na wszelkie prośby.

Wreszcie zapłacono, ale wszyscy gromadą zwalili się do Hubeniów, grożąc, klnąc.

— Wasz chłopiec tych głupców namówił: niech za nich płaci, a nie, to „prygowor“ zrobimy! Niech w turmie siedzi!

Gdy Sacharko począł im hardo się stawiać, od słów przyszło do czynu. Gromada wyła, a potem wzięto się do pięści.

Zbiegło się więcej ludu. Poczęto wypominać kradzieże; grożono, że wydadzą ów niedoszły mord Karpiny Huca, gwałt powstał tak okropny, że wreszcie Hubenie złożyli broń: zapłacili część, na resztę dali zastaw — i ludzie się rozeszli.

Wtedy domowi rzucili się na szkolnika. Bił go ojciec i brat, łajala bratowa i nawet spokojny Kalenik — dzieci drwiły. Kiryk ani się bronił, ani zębów zaciętych uchylił. Twarz jego, chorobliwie blada, szpetna, wyrażała zapamiętałą mściwość. Nazajutrz wpadł znowu na śmiechy i naigrzawania towarzyszy — nie dawano mu nigdzie przejść spokojnie.

Wreszcie drugiego dnia wybuchnął.

— Czekajcie jeszcze, czekajcie! — mruknął. — Nie dali naszym wołom kłapcia trawy: może im siana zbraknąć.

Czekano niedługo. Na trzecią noc, wietrzną i ciemną, Kiryk, jak zwykle, gdy inni się kładli, poszedł niby „na doświtki“ czekać. W rzeczywistości inny projekt dojrzał mu w głowie.

Około północy Kalenik posłyszał, że ktoś wszedł.

Nie mógł to być nikt inny tylko Kiryk, gdyż chatę zasawano zewnątrz, a on miał z sobą klucz, a raczej szczególne narzędzie: żelazko służące do odsuwania drewnianego skobla.

Tak, szkolnik to był.

Poomacku się wśliznął, i jak kot cicho się sprawiał.

Zpod ławki wyciągnął sporą garść pakul, przedtem przygotowanych, lampkę na nie wylał — wziął garść zapalek do kieszeni — i jak się zjawił, nieznacznie wyszedł.

Noc była wietrzna i czarna. Na roli, na trawie, bosc jego stopy nie czyniły śladów.

Musiał być zdecydowany stanowczo, bo wcale się nie namyslał. Przesadził płot, potem rów graniczny, i wszedł na dworskie łaki. Nie wiedząc go było, ale on instynktownie do ziemi przypadał. Za łada szelestem stawał i nasłuchiwał.

Łaki były grzązkie i wodą zalane, on przecie lepszej drogi nie szukał, ani kierunku nie zmieniał.

Wreszcie stóg przed nim zaczerniał.

Obszedł go wkoło, rękami zmierzył i z dumą do siebie wyszeptał:

— Tensam: ot trafił sprytnie!

Tedy przy stogu tym przykucnął i chwilę odpoczywał.

Tak prędko szedł, że mu dech zaparło. Potem blaszaną puszkę zza koszuli wyjął i papierosa sobie skręcił.

Zapalił jedną zapalkę: zgasła na wicherze, przy drugiej zatlił smrodliwy tytoń. Palił, i różne myśli chodziły mu po głowie.

— A żeby zamiast stogu, dwór, a może gumno którego z tych, co od nich pieniądze brali?...

Ale nie. Trącać daleko — czasze szkoda. Począł ze spodu skubać garście siana, aż uczynił jamę sporą. W nią wetknął owe pakuły, sianem założył i potarł zapalkę. Nie chybiła tym razem.

Wsunął ją między żdźbła, rozległ się suchy trzask płomienia; ogień ogarnął już jamę.

Kiryk się zerwał i począł uciekać, tak zgięty, że ledwie nad kępy wystawał, tak szybko, że tylko migał, jak zwierzę leśny.

Był już niedaleko płotów, gdy nagle te płoty i chaty i drzewa, stanęły wyraźnie jak w słońcu — w czerwonej łunie. Widać było, jak na dłoni, całą równinę, dwór czarny, wieś niską, drzewa przerzedzone.

A na tle stała ta pochodnia czerwona, góra objęta ogniem, rzucająca wkoło siebie, jak latające obłoczki, wiązki siana — żywa, wściekła.

Wiatr się z tą pochodnią szamotał i, jakby jej

dawał policzki — to z góry, to z boków kręciły się płomienie, a huczały gniewne.

Teraz i niebo stało się widocznem — szare, chmur, szybko pędzących, pełne.

Miedzy chmury wsiąkał dym czarny, pełen atomów siana zwęglonego, i tworzył nad tą pochodnią dziwnie pogieęte zygzaki. I tak stało się jasno, że wszystko było widać, tylko nie widać było, ani żadnego ratunku, ani sprawiedliwości.

Od dworu ukazało się parę ludzkich czarnych sylwetek, ale nikt nie biadał i nie jęczał: patrzano w milczeniu.

Tylko psy zawyły — i tylko zaryczało przeciągle bydło — jakby przeczuwało ciężki przednówek.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż, 1-go Marca 1891 r.

Koniec zimy i kusy karnawał. — Nadzieje brukowców paryżkich i rzeczywistość — Tłusty Wtorek — Kawalkady i zatamowanie ruchu. — Pierwsze brzaski Środy Popielecowej — Wesele Karnawałowe. — Ślub cywilny syna Alfonsa Daudet'a z wnuczką Wiktora Hugo — Dwie główne atrakcje Paryżanów w miesiącu Lutym. — Przyjazd cesarzowej niemieckiej, wdowy po Fryderyku. — Sperandy indemnizacyi. — Dziwolągi. — Cesarzowa Wiktoria i jej tygodniowy pobyt w Paryżu. — Komplikacje. — Śmieć: telefon i wielkie straty w dziedzinie sztuki. — Meissonier. — Kilka słów wspomnienia o jego życiu i pracach. — Chaplin. — Wystąpienie nowego artysty polskiego, pana Strojowskiego. — Koncert i niesłychane powodzenie. — Talleyrand i jego pamiętniki.

Długa i ciężka zima — kusy karnawał — emigracja do ciepłych krajów, albo na „mogilki“ — oto bilans tego sezonu, niepokojący i nie zabawny! Ale cóż robić? *sic facta tulere...* Trzeba się zgodzić z tem, czemu przeszkodzić nie można. Paryżanie, zawsze skłonni do marzeń i fantazyi, myśleli, że się odbiją na ostatnich dniach karnawału. Aby zachęcić ich do wytrwania w tych marzeniach, dziennikarze zaczęli zapowiadać wskrzeszenie sławnej processyi karmnego wołu i rozmaite inne dodatki dla napelnienia tego, co uważane jest za całość karnawałową ulicznej zabawy.

Z niecierpliwością tedy czekali Paryżanie *tlustego wtorku*, ale na to, aby się sny sprawdziły, potrzeba było dwóch głównych warunków: karmnego wołu i pięknej pogody!

Nadeszła wreszcie oczekiwana chwila — tłusty wtorek! ale tymczasem gruba mgła zakryła miasto i większą część dnia zagarnęła pod swoje ciemne zasłony. Smutno wyglądały ulice i bulwary i nie zapowiadało to wielkiej zabawy i wesela; ale z Paryżanami nigdy się nie trzeba liczyć napewno. I tym razem stało się inaczej, niż można było przewidzieć. Ożywienie bulwarów rzadkokiedy dochodzi do podobnego *maximum*, jak w tem wtorkowym zbiegowisku tutejszych szlifbruków. Powódz ludzka zalała jak morze główne bulwary, ulicę Lafayette'a, Rivoli, bulwary dalsze Św. Bartłomieja, Ś-go Michała i t. d. W dzielnicach zewnętrznych, w siedliskach ludu roboczego, ruch i ożywienie były również wielkie.

Przecież ani wołu, ani osła, ani żadnej rzeczy z tych sławnych dodatków tutejszego wesela — ani maskarady, ani lusztuku podpiłej ulicznej zgrail! Za całą redutę trzy główne kawalkady — trzy reklamy paryżkiego przemysłu — czysto i porządnie ubrane, na dobrych koniach, z bogatym rynsztunkiem, zaspokoiły jako-tako ciekawość publiczną.

Wśród tej reprezentacji pierwsze zajęła miejsce wyprawa urządzona kosztem jednego z tych miłych Paryżanom zakładów, tak zwanych *chore-*

ograficznych, balików ogródkowych, którego siedliskiem jest sławna część miasta nosząca nazwę: „Montmartre”. Składały tę wyprawę trzy olbrzymie powozy, świetnie udekorowane i w dzielne konie zaprzężone. Na jednym z nich publiczność mogła podziwiać stojącego tucznego wołu, przystrojonego w złociste ozdoby, według starożytnej tradycyi rzymskiej. Wprawdzie wół ten był to poprostu kartonowy zlepek, ale wykończony tak pięknie, że czynił całkowicie złudzenie nieobecnego żywego cielca. Na szerokim grzbiecie olbrzymiego zwierzęcia siedział śliczny amurek, ten już z ciała i kości żywy potomek Paryżanów — znany tu dobrze karzelek z zimowego cyrku „Franciszek”.

Na drugim wozie, artystycznie ugrupowana, w mytologicznych strojach, ścigała na siebie uwagę publiczności, błyszcząca wiązaną młodych, świeżych i wcale nieszpetynych kobiet, — co jest tu rzadkością w tego rodzaju reprezentacjach, pomimo przechwalania się Paryżanów. Jak wszędzie, tak i tu prawdziwie piękny i świeży buziaczek to rarytas wielki. Na trzecim wozie ciągnęła muzyka, a pochod otwierała i zamykała nader świetna kawalkada, widocznie na własnych, a nie najetych, rumakach.

Podobne powodzenie miała kawalkada z towarzyszeniem wozów wysłanych przez jeden z tutejszych teatrów koncertowych. Zamykała ten pochod reklamy świetnie urządzona reprezentacja wszelkiego rodzaju, kosztownych i kosztownie zaprzężonych powozów, a kiedy reklama potrafi się urządzić z taką perfekcją, można jej wiele przebaczyć: przestaje być nawet reklamą, o którą się nikt nie troszczy, a każdy podziwia jedynie artystyczne i gustowne urządzenie całości.

To przedstawienie, zdumiewające swoją rozmaitością i szykiem — spotkało na swej długiej wędrówce wśród głównych ulic Paryża, prawdziwie królewskie przyjęcie; prawdziwy zachwyt opanował massy, wcale nieprzygotowane do tej niespodzianki, i na wielu punktach spowodował niesłychane wielkie zgilek gawiedzi. Około czwartej z południa nie było już sposobu ruszyć się z miejsca na bulwarach, gdzie się krzyżują ulice Montmartre, Drouot i na plac przed Operą. Maskarady dzieciinne były tak liczne w niektórych miejscach bulwarów, że człowiek z przestrachem patrzył, czekając jakiejś katastrofy, bez której oberseł się przecież.

Ten wir i to zbiegowisko nie zmniejszyły się wcale z zachodem słońca; światło elektryczne i latarnie gazowe zastąpiły jeszcze jaskrawiej — światło trochę mgliste, dzienne. W Wielkiej operze odbywał się bal wyjątkowy; w ten sposób natłok karnawałowy znalazł tu nowy zasilek, niemniej burzliwy. To też bulwary od 10 do północy przedstawiały gwar i zmatwanie, większe jeszcze, niż w przedobiednich godzinach.

Ruch powozów rozpoczął się znowu z nadejściem nocy, ale tłok publiczności był tak niezmierny, nie tylko na asfaltowych chodnikach, ale i na samych ulicach, że powozy poruszały się zaledwie nogą za nogą, i tak jeszcze wystawione były wśród rozochoczonego tłumu na ciągłe i tysiączne nieprzyjemności ze strony trefnisiów, którzy czepiali się u powozów, siadali na resorach, wstrząsali niemi, dając nieszczęśliwym zamkniętym w tych pudłach przedsmak prawdziwej morskiej podróży na wzburzonem morzu.

W ogólności jednak karnawał w Paryżu, jak to było od wieków, zaleca się tylko niezmiernym natłokiem pospólstwa, którego główną cechą nie jest ani wesołość szczerą, ani uprzejmość. Prawdziwie pięknych i oryginalnych masek mało, jak na lekarstwo. Około północy dopiero tłum zaczął się przerzedzać, znowu fiakry i omnibusy weszły w ruch normalny i jęły powoli rozwozić na krańce Paryża, jeśli nie ubawioną, to przynajmniej zmęczoną i potłuczoną, bez granic ciekawą ludność dalekich dzielnic stolicy. Ten koniec końców jest to jedna z najciekawszych rzeczy. Pamiętam, że kiedyś, dawniej, dawniej z wesołym towarzyszem, Leonem Kaplińskim, wypawszy się spokojnie, dopiero około piątej zrana w Popielec wyszliśmy na bulwary, żeby zobaczyć ten koniec karnawału, w powrocie do

domu, ten, jak mówił sprawiedliwie Leon nieboszczyk, rozchlastany koniec bicza krakowskiego.

Jakgdyby na uczczenie ostatnich dni karnawału, na *valette*, Alfons Daudet wyprawił wesele syna swego Leona z panną Janiną Hugo, wnuczką wielkiego poety. Jest to więc prawdziwe wesele, a dały je szczęśliwej parze talent ze sławą i miłość z workiem, który dziadunio skrzętnie i sowiecie zapelniał. Aby się trzymać w tonie karnawałowym, zostawiano na stronie kościół, i do Ratusza XVI rewiru miasta Paryża (Passy) wprowadzono nowość demokratyczną — orkiestrę, aby weselu weselej było. Ma to zastąpić na przyszłość, jak powiadają *bracia*, przestarzałe pompy kościelnych ceremonii i zaćmić je blaskiem i dźwiękiem.

Oto, co mi pisze o tem jeden z serdecznych przyjaciół rodziny Daudet'a:

„Tak więc cała *poetyczność poezyi* towarzyszyła uszczęśliwionej parze; wszystkie jej uludy i wdzięki, oprócz jednego, którego nieobecność obudzi niejedną żal, i rzuci jakby zasłonę smętności na ten obchód; mówię tu o ceremonii w domu Bożym.

„Na to wesele, pełne młodości i wdzięku, którego świadkami byli panowie Schoelcher, Juliusz Simon, Goncourt i Dr. Potain, a z nimi cały Paryż intelligencji, jednego tylko zapomniano wezwać: Pana Boga. Ślub był czysto cywilny.

„Nie myśl, mój drogi Panie, że Alfons Daudet zgodził się lekkim sercem na zerwanie w ten sposób ze starą pocziwą tradycją swojej dzwonnicy i rodziny. Jest on z południa — z tych okolic, gdzie religia dotąd jeszcze przewodniczy, błogosławiąc najważniejsze epoki życia naszego i gdzie, jeśli nawet i nie praktykują zbyt ściśle wszystkich obowiązków i przepisów — mają jeszcze dla wszelkich objawów zewnętrznych wiary pewien szacunek, poważny i trwały. Kiedy pod wpływem ojczyma, p. Lockroy, i matki, postawiony został warunek, *sine qua non* — ślub wyłącznie cywilny, Daudet uczuł potężny głos starej wiary swych ojców, domagający się spełnienia obowiązku tradycjonalnego; ale musiał wybierać pomiędzy niechybnym zerwaniem tego związku, wielką boleścią zadaną synowi — a osobistem przekonaniem i schylił się przed absolutną i twardą wolą rodziny narzeczonej, która się powoływała zresztą na ostatnią wolę dziadka, jak mówiła, krepującą wsaystkich i zamykającą usta.”

Stało się więc, i było to czysto demokratyczne, karnawałowe wesele, raz pierwszy z muzyką, co nas przenosi w złote, szczęśliwe czasy pogaństwa, skotopasek Wergiliusza. Festyn był wielki, morze kwiatów, zbiegowisko ludzkie, tłumne i szumne i niech żałują ci, którzy przyszli zapóźno. Nawet dzienniki skrajnej lewicy pokazały zęby pani Carnot za to, że śmiała nieprzybyć osobiście na ten ożenek takiego znaczenia.

Daleko ważniejszą i poważniejszą sprawą było przybycie niespodziane do Paryża d. 19 Lutego cesarzowej niemieckiej, wdowy Fryderykowej. Od czasu wojny 1870-71 roku pierwszy to raz ktoś z rodziny cesarzów niemieckich postawił nogę na tym pałacym gruncie francuskiej stolicy, a jakkolwiek ta podróż i odwiedziny zachowały cały charakter prywatny, bez żadnego przyjęcia i występu urzędowego, nie tylko ze strony rządu, ale nawet ze strony ambasady niemieckiej, jednak była to rzecz niepokojąca wielu, znających nerwowe usposobienie Paryżanów i łatwość, z jaką tu się propagują najdziwniejsze wybryki opinii publicznej.

Dziś (27 Lutego), kiedy już podróżująca pani opuściła Paryż, udając się do Anglii — można powiedzieć, że lepiej-by było może, gdyby ta podróż nie wyłaniała się wcale z mroku zamysłów, chociaż była ona, jak się zdaje, wypadkową prywatnych okoliczności. Główną i najważniejszą była sprawa sukcesyi. Wiadomo, że testamentem swoim księżna Galliera zapisała Cesarzowej Wiktoryi dziewięć milionów cztery kroć sto tysięcy franków, a że likwidacja tej sukcesyi nie jest jeszcze skończona i wymagała osobistego porozumienia się. Cesarzowa, korzystając ze swej podróży do Londynu, postanowiła sprawdzić osobiście stan rzeczy.

Do tego nawiązano w Berlinie inną jeszcze sprawę. Wiadomo, że cesarzowa wdowa jest znakomitą bardzo akwarellistką i miłośniczką sztuk pięknych, z tego tytułu jest ich protektorką i sprawuje zazwyczaj honorową prezydencję wszelkiej wystawy w Berlinie. Otóż w Maju ma być otwarta w stolicy Niemiec wystawa międzynarodowa Sztuk Pięknych; pożądaną było rzeczamić na tej wystawie artystów francuzkich. Zdawało się zatem naturalną rzeczą, że obecność w Paryżu Cesarzowej, która miała zamiar zwiedzić pracownie wielu znakomitych artystów, posłuży do zachęcenia wielu, aby spełnili to żądanie dyrekcji wystawy berlińskiej.

Ale „chłop strzela, Pan Bóg kule nosi“

Inaczej się stało, pomimo wielkiej skromności i prostoty, z jaką cesarzowa, zwiedzając pracownie swoich—jak mówiła—kollegów, starała się zawiązać dobre stosunki,—cała ta sprawa w spak się obróciła, i pod koniec pobytu przybrała charakter takiej cierpkości, że dobrze już było ją osłodzić.

Artyści francuzcy nie życzą sobie ostatecznie brać udziału w wystawie berlińskiej; nie można im mieć tego za złe, chociaż wielu z nich ulega w tej sprawie bardziej naciskowi, pochodzącemu z innego źródła, niż ich własne przekonanie; ale, jak powiadam, nie można im mieć tego za złe. Co jest mniej *correct*—jak mówią sami Niemcy—to wdanie się w tę sprawę dziennikarzy, ludzi obcych sztuce i jej wymaganiom, którzy w całej tej sprawie odegrali niewłaściwą rolę, osobiste swoje widoki i sady narzucając całemu światu i zmuszając spokojnych ludzi do wystąpienia w postaci burzymuchów, która jest im daleką!

Słowem: kwestya wystawy została zlikwidowaną w taki sposób, że dobre stosunki musiały koniecznie uciepnieć na tem. Owoc widocznie nie jest jeszcze dosyć dojrzałym, aby go można zerwać z łatwością; a czy dojrzeje kiedy? — to pytanie na które trudno jest dziś już dać odpowiedź.

Cesarzowa Wiktorya wyjechała w Piątek 27 Lutego—i dobrze się stało, że nie gościła tu dłużej, bo wśród tak zapalnych materiałów na jakich tu nigdy nie zbywa, lepiej jest uniknąć wszelkiej komplikacji—tembardziej, że na pierwszą wiadomość o trudnościach, jakie spotkała missya cesarzowej dzienniki niemieckie z właściwą im *urbanitas* rozpoczęły już polemikę zza Renu, które niechybnie doprowadzi do tego, że się zaczęną częstować od „nieponiów“ i „szelmów!“ Lepiej więc, że ta zacna i sympatyczna postać postać cesarzowej, nie będzie zmuszoną znajdować się w pośród tak zburzonych żywiołów. Przejdzie to, jak tyle rzeczy przeszło; ale lepiej patrzeć na to zdaleka.

Tak się to wszystko plecie,
Na tym tu dziwnym świecie!..

Tu wesele i zabawa porusza gwałtownie swoją głuźną grzechotkę. Ludziska byle czem się bawią, karnawał ze śmiechem chowają—a tuż obok ciągną inne wozy, czarnym pokryte całunem, i ktoś tam płacze za wozem.

Tegoroczna zima wiele kart przymnożyła do nekrologicznej księgi Paryża. Francya poniosła ciężkie straty w dziedzinie sztuk pięknych, te straty są niepowrotne, i nieprędko dadzą się popęlnić i godnie zastąpić. Wspominając tu tylko o prawdziwych mistrzach, dosyć będzie zapisać nazwiska Meissonier'a i Chapelin'a.

Meissonier, którego imię cały świat z uwielbieniem powtarza, — zgasł tak nagle, jakgdyby gwałtowną śmiercią. Wiedzieliśmy wprawdzie, że był ciężko chory, ale silna i czerstwa jego budowa, uspakajała najtrwożliwsze umysły. Pomimo siedmudziesięciu lat wieku, czyż nie widzieliśmy go codziennie przed stalugą swojej pracowni, na błyszawych, ale mocnych nogach, tworzącego cuda pendzla i barwy, jakby w młode lata?

Śmierć, zabierając Meissonier'a, zadała francuzkiej szkole niepowetowaną stratę. Znakomity artysta, o trocha dziwniej napozór powierzchowności, małego wzrostu, o wielkiej głowie z ogromną kłaczystą zakończoną brodą—jakby jeden

z tych tradycyjnych posagów, z których snycerze XVIII-go stulecia uosabiali wielkie szerskie rzeki.—Artysta ten, była to jedna z najczystszych i najwybitniejszych postaci, któremi Francya może się poszczycić.

Dla wszystkich idła każdego, jakiegokolwiek były ich intencje i pragnienia, pozostał on niezaprzczonym i bezspornym mistrzem, a umierając odchodzi cały i bez uszczerbku, nie dawszy żadnego pozoru zwątpienia o swojej sztuce,—bez żadnego zaprzania się swych zasad, w całej pełni swojej twórczości, przed tem ogromnem płótnem przeznaczonem do ozdobienia Panteonu—jakgdyby postanowił sobie, on malarz, niezrównanych mikroskopijnych obrazów zakończyć i zamknąć swój zawód olbrzymią antytezą!

Zadziwiający talent Meissoniera był wynikiem głębokiej i zupełnej wiedzy, wszystkich tajemnic techniki sztuki malarzkiej; zdobył go sobie ten mistrz nad mistrze niezłomną wolą, wielką sumiennością i wypróbowaną uczciwością charakteru...

Urodzony w Lugdunie 21 Lutego 1891 r., z rodziców, którzy trzymali w tem mieście sklep korzenny tak zwanych tu episyerów, Ernest był fatalnie przeznaczony iść w ślady rodziców i biegać ręką ważyć cukier i cynamon, z dodatkiem obrzydliwych łojówek. Ale zaraz, od lat najmłodszych, nieczem nie przeparte powołanie, pochyliło młodego episyera do malarstwa.

Wbrew woli rodziców, wkrótce oddał się sztuce wyłącznie. Nic nie pomagały naśmiewania się i kary; poprzestając na pensyi piętnastu franków na miesiąc, które mu dał ojciec w celu zmuszenia go głodem: Meissonier pozostał wiernym czarodziejskim podszeptom demona malarstwa. Z tych pierwszych zapasów stworzono legendę Meissoniera, malującego szyldy i oślepiające freski w sklepach winiaryz. Jest to zmyślenie czyste; prawdą jest tylko to, przez lat kilkanaście, musi on skromnie i ciężko pracować.

(Dokończenie nastąpi).

KOBIETA W AMERYCE.

(Dalszy ciąg).

Miss Fanny K. zamieszkuje wspaniały pałac na jednej z pryncypalnych ulic w New-Yorku. Ma dwóch braci głuchoniemych, którzy zarządzają posiadłością wiejską, gdzie latem gromadzi się rodzina cała. Pociąga to za sobą znaczne wydatki, na które chętnie łoży ojciec, rad, że może osłodzić smutną dolę synów. Ich siostra jest osobą wyjątkowo wykształconą; posiada wszystkie dary umysłu i serca i, jak promień słoneczny, rozwesela kółko domowe dołknięte niedolą kalcetwa. Ale Miss Fanny odczuwa konieczną potrzebę indywidualnego jakiegoś zajęcia i pewną jest, że w bezczynności opuściłyby ją zupełnie siły moralne i stałaby się niewolnicą swych nerwów.

Pewnego dnia wyczytuje p. K. w *Heraldzie* ogłoszenie o wakującym miejscu sekretarki. Stawia tedy swoją kandydaturę; zostaje przyjętą zrazu jako kancelistka, następnie jako współpracownica przeglądu filantropijnego, zasilanego funduszami pewnej dobroczynnej damy. — Dziś stoi ona na czele wydawnictwa i doznaje pełnego zadowolenia istoty ludzkiej, pracującej dla dobra społeczeństwa, bez zaniebdywania przytem rodzinnych swych obowiązków.

Inny przykład.

Pani C. młoda, żywa, bogata i rozumna, matka rodziny złożonej z sześciorga dzieci, zaczęła na gło tracić sen, humor i apetyt — bladła i nikła w oczach. Jej marszałek dworu, Anglik, kuchmistrz Alzatezyk, i guwernantka Niemka, zdjęli z niej cały kłopot domowego zarządu; nie potrzebowała więc niczem zaprzętać sobie głowy,

nieczem się trudnić, o niczem myśleć, a świat Nowo-Yorcki, w który rzuciła się zrazu, zaczynał już ją nudzić. Pani C. wyżyła z przepisu lekarza mnóstwo żelaza i chininy, odbyła kuracyę hydropatyczną, ale choroba nie ustępowała. Oto w jaki sposób chora odzyskała zdrowie.

Od pewnego już czasu odwiedzała biedną rodzinę, której niekiedy pożyczala książek do czytania. Pewnego dnia poproszono ją o *Chateau Wuję Tomasza* dla sąsiadów jeszcze biedniejszych. W jakiś czas potem nowi amatorowie poczęli się dopraszać książek, tak, że wkrótce cała dzielnica miasta, zamieszkała przez ubogich a łaknących oświaty i rozrywki, czerpała je w prywatnej bibliotece pani C.

Wtedy iskra tlejąca od tak dawna pod popiołem, rozpalila płomień. Pani C. zrozumiała tę potrzebę oświaty, która trawi ubogich, i pojęła jak wiele dobrego zdziałać może na tem polu. Zajął się też niezwłocznie urządzeniem małej czytelnicy zaopatrzonej w odpowiednie dzieła, a liczba czytelników jej tak nagle wzrosła, że wkrótce nie mogła książek nastarczyć. Pewnego dnia, podczas wystawnego obiadu, który dała u siebie, opowiedziała gościom swoim o tej małej fundacyi, a zaraz nazajutrz ktoś ze znajomych przysłał jej zasilek w summie dziesięciu tysięcy franków. Datki zaczęły napływać zewsząd, z hojnością znamionującą bogatych Amerykanów, którzy zdają się żadnej wartości nie przywiązywać do pieniędzy, choć tak usilnie pracują nad ich zdobyciem. Dzięki ofiarom rozpoczęte na skromną skalę dzieło dobroczynne rozwinęło się nadzwyczaj szybko, przy współudziale młodych, intelligentnych i szlachetnych kobiet, które, szerząc tym sposobem oświatę i moralność między ubogimi klasami, stawiają nam przed oczyma piękny przykład tego, co niewiasta w zakresie działalności swojej zrobić może. Już w 1877 roku *Bezpłatna czytelnia* puściła w obieg przeszło dziesięć tomów, które wszystkie zwrócone jej zostały, a dziś liczy już kilka filii w samym New-Yorku.

Pani C., czynna i niezmordowana, zajęta od rana do wieczora, wyleczyła się zupełnie ze swoich nerwów.

U nas w Europie nikt nie ma pojęcia jak wiele czytają i drukują w Ameryce, a kobiety nie tylko więcej czytają od mężczyzn, ale też i więcej piszą. Ilość pism peryodycznych, przeglądów, tygodników jest olbrzymią. Zwracają się one do mężczyzn, do kobiet, do dzieci, do bogaczy, do nędzarzy, do kapitalistów, do wyrobników; zawierają krótkie nowelki, pobieżne fakta, wiadomości naukowe, przygody podróży, i t. d. Każdy może z tego źródła zaczerpnąć coś pouczającego dla siebie. Wszystkie sekty religijne, ludzie wszelkich narodowości, zasad, dążeń politycznych, mają swoje organa, redagowane w duchu ich przekonań i częstokroć nawet w języku rodzinnym. Każdy chciwie pochłania nowe wydawnictwa, które się szybko rozchodzą w wielkiej liczbie egzemplarzy, a zamiłowanie w czytaniu jest tak powszechnem, że niejedna kobieta światowa jemu tylko zawdzięcza, iż nie staje się płochą i bezmyślną istotą. Gust jej literacki kształci się i uszlachetnia w miarę, jak się umysł pozbywa czczych złudzeń młodości, tak, iż starszuszki *babunie* nieraz przyjemniejsze są w rozmowie od roztrzępanych swoich wnuczek.

Po latach 50 ciu wszystkie Amerykanki noszą białe czepeczki, których tiulowe riasze i skrzydła muslinowe, jakby aureolą osłaniają siwiejące włosy i hożą twarz o łagodnym wyrazie i świeżej cerze, z której nie znikła jeszcze krasa młodości.

Każda dziewczynka, poczynawszy od 6-go roku życia, sama, nieprzeprowadzana przez nikogo, uczęszcza do szkoły publicznej, którą opuszcza dopiero po skończonej edukacyi, jako 18-letnia lub 20-letnia panna. Chłopcy o wiele wcześniej kończą swe wykształcenie, aby rozpocząć zawód praktyczny. Dlatego—to kobiety w Ameryce odznaczają się wyższem wykształceniem od mężczyzn.

Aż do otrzymania dyplomu młoda dziewczyna cała oddaje się nauce, nieraz nawet ze szkodą zdrowia; ale zato, gdy raz posiędzie upragniony

patent, nie otwiera innej książki prócz romansu, co zresztą bynajmniej nie oddziaływa szkodliwie na jej wyobraźnię, ani też przedwcześnie nie odziera jej ze złudzeń.

To życie publiczne, które Amerykanka zaczyna tak młodo, i które prowadzi od dziecka w szkole i w *boarding-housie*, uczęszczając sama na wszystkie zebrania, nadaje jej wszędzie znamiona swobody i niezależności. Jest ona zawsze na widowni. Z łatwością zawiązuje przyjazne stosunki i nie może nigdy usiedzieć w domu. Woli dnie całe spędzać na wizytach i na ulicy, niż siedzieć samotnie. Nie wie co to nieśmiałość, i zarówno wobec najwyższej damy jak wobec prostej kolonistki zawsze będzie jednakową i nigdy się nie zaleknie, ani straci władzy nad sobą. Lubi *flirt*, ale nie przywiązuje do niego żadnego znaczenia. Jak tylko jaka myśl poważniejsza zaświta jej w głowie, wszystko co nie ma z nią związku, staje się jej obojętnym. Idąc za popędem chwili, zamienia się w fantastyczną excytryczną, oryginalną, i zabiera się do pracy z taką samą energią i zapałem, z jakim poprzednio rzucała się w wir zabaw. Jej nagle rozmiłowanie się w nauce, w sztukach pięknych, w dziełach miłosirnych, przeistacza ją z gruntu.

Gdyby kto wymawiał Amerykance, że lubi tylko zabawy, odpowiadałaby ze zdziwieniem: — A cóż w tem złego? — Ale na pochwałę jej wypada dodać, że z chwilą, gdy się koło fortuny odwróci, a to wydarza się często w tym kraju ciągłych przemian, umie kobieta amerykańska mężnie pogodzić się ze swoim losem, nie utyskuje na niego, i nigdy nie upada na duchu. Pracuje igłą, pędzlem czy piórem, nie waha się nawet przyjąć miejsca nauczycielki lub panny do towarzystwa, byle tylko nie odwoływać się do pomocy bogatych krewnych. Amerykanka chętnie posługuje się czyjąś protekcją, ale jałmużny nie przyjmuje nigdy, od nikogo. Praca zresztą przynosząca jakiś zarobek, nie jest tu dla nikogo wstrętną i nikt się jej nie wstydzi.

Z chwilą, gdy młoda dziewczyna wstępuje w świat, zaczyna robić co jej tylko przechodzi przez głowę: swoboda jej w niczem nie jest kępowaną. Zazwyczaj pierwszym staraniem jej jest naznaczyć swoim przyjaciołom dzień recepcji, inny, niż dzień przyjęty przez jej matkę. Wieczorami również często daje u siebie *ricivimento*, a matka stara się obecnością swoją nie tamować swobody młodocianego towarzystwa. Czas próby i niebezpieczeństw, na jakie narażoną bywa kobieta, w Stanach Zjednoczonych, poprzedza zwykle małżeństwo a nie następuje dopiero po niem, jak się to dzieje w Europie.

Nie rodzice wydają córkę za mąż, ale ona sama szuka sobie męża. Wybór padnie zawsze na jednego z przyjaciół, stara się więc każda zawiązywać jaknajliczniejsze stosunki towarzyskie. Przy wszelkiej swobodzie obejścia się, zachowując całą swoją niewinność i dziewiczą prostotę, młoda Amerykanka, albo sama albo z którą z młodych swoich rówieśnic, uczęszcza na poranki muzyczne, na teatralne i prelekcje naukowe; urządza nawet małe zebrania i kolacyjki w restauracjach, ale wtedy bierze zwykle do towarzystwa młodą jaką mężatkę. Na balach pojawia się częściej z zamężną przyjaciółką niż z matką.

Ojciec wyznacza córce miesięczną pensję; córka rozporządza nią dowolnie. Sama zamawia sobie suknie, robi sprawunki i nieraz kieruje matką w kwestjach towarzyskiej etykiety. Sama chodzi do doktora, do dentysty, do profesora śpiewu i zapisuje się na członka klubu fechtistrów, łyżwiarzy, śpiewaków, i t. d.

Zupełna edukacja młodej, światowej panny nigdy nie będzie skończoną, dopóki panna nie odbędzie podróży do Europy, nie zwiedzi głównych stolic starego ładu, muzeów, teatrów, magazynów, wreszcie Renu, Szwajcaryi, a nadewszystko Paryża. Bogaci ojcowie chcą, aby ich córki przedstawione były na dworze królowej Wielkiej Brytanii, tak jak młode arystokratki angielskie, które od tej imponującej ceremonii zaczynają zwykle światową swoją karierę.

Tradycje pedagogiczne, owoce długoletniego doświadczenia, nie istnieją wcale w Ameryce,

gdzie ludzie biedni, z dnia na dzień stają się bogaczami i przechodzą do innej sfery społecznej. Wychowanie dzieci niema tam żadnego określonego kierunku i zmienia się stosownie do kole losu. Ztąd tyle dziwactw i excytryczności nieraz rażących. I tak miss M., najskromniejsza i najprzystojniejsza z pań, nie waha się dla rozrywki przyjaciółek swoich z *boarding-house'u*, dać widowiska podczas którego naśladuje pozy wszystkich najznakomitszych rzeźb poznanych w muzeach europejskich. Panna N. modna piękność, dziedziczka wielkiej fortuny, wesoła, światowa i przepadająca za tańcem, nagle poczuwa w sobie powołanie zakonne. W wigilię wstąpienia do klasztoru wydaje u siebie wielki bal; tańczy do upadłego aż do północy, a z uderzeniem 12-tej znika z salonu i z widowni świata na zawsze. W balowej toalecie każe się wieść za ciemne kraty, i do dziś dnia wiedzie tam żywot bogobojny i ascetyczny. Takich przykładów excytryczności można by przytoczyć bez liku.

Amerykanki wolą w ogóle towarzystwo męskie niż kobiece, co im nie przeszkadza mieć zawsze najserdeczniejszą przyjaciółkę *bosom-friend*, przed którą nie mają tajnej myśli.

Młode dziewczęta tworzą między sobą tak zwane kluby *przyjaciółek*, które dają sobie *rendez-vous* na wszystkich balach, teatrach, latem spotykają się w umówionem miejscu w górach, a zimą organizują wspólne zabawy i zebrania. Pannienki te dobierają sobie zwykle odpowiednią liczbę młodzieży męskiej, tworzącej zwykłą ich eskortę

(Dokończenie nastąpi).

Z DZIAŁU PRZYRODY.

Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych.

Kolej na Jungfrau. — Przyrząd do zrzucania ludzi z wysokości. — Metalizacja ciała. — Leczenie gruźlicy sposobem odkrytym przez Liebreicha.

Dwaj znakomici inżynierowie Köchlin i Trautweiler złożyli radzie związku szwajcarskiego projekt budowy kolei na Jungfrau, a więc na górę wyniesioną nad powierzchnią morza, na przeszło 3,800 metrów. Rada zaś ze swej strony przedstawiła śmiało te plany kommissji, złożonej z profesorów w Zurychu i Bernie, których orzeczenie w tym względzie zamieszczamy w streszczeniu.

Kolej na Jungfrau ma mieć około 6 kilometrów długości, a osiągnąć 3.200 metrów wysokości nad poziomem morza. W znacznej części przekraczałaby granicę wiecznego śniegu i temsamem wystawioną byłaby na wszelkiego rodzaju nieprzyjemne wpływy klimatu. Co więcej, pochyłość jej ma przewyższać owiele najbardziej pochyłe drogi górskie. Wreszcie niemała przeszkodę stanowiłoby to, że człowiek znajdzie się tam w warunkach, których działanie na organizm dotychczas nie zostało naukowo dokładnie zbadane. Co do szkodliwości mogących powstać z pierwszego powodu, usunąć-by się one dały, gdyby zbudowano drugą we wnętrzu góry, a więc tunelowo, jak to robiono już niejednokrotnie przy innych kolejach górskich. Oba projekta uwzględniły też owo konieczność.

Co do trudności technicznych, w przeprowadzeniu kolei na tak wysoką i stromą górę, to sądząc po dotychczas wykonanych w tym kierunku robotach, nie okazały się one niewzwalczonemi. Najważniejszą zatem rolę odgrywa trzecie pytanie: jaki wpływ wywrze raptowne wzniesienie się na tak znaczną wysokość na zdrowie ludzkie?

Wiadomo, że człowiek podlega tak zwanej górskiej chorobie, która głównie występuje skutkiem rozrzedzenia się powietrza w wyższych warstwach atmosfery. Objawia się ona uczuciem osłabienia, utratą apetytu, nadmiernem pragnieniem, mdłościami, wymiotami, utrudnionym i przyspieszonym oddechem, częstszym tętnem, kołataniem serca, bólem głowy, sennością, omdleniem, ogólnem wyczerpaniem sił. W rzadszych przypadkach przyłączają się jeszcze: krwotoki z nosa, płuc, żołądka, kiszki i nerek, szum w uszach, stępienie zmysłów, jakby omdlenie umysłowe. Niektórzy autorowie utrzymują, że choroba górską może nawet spowodować śmierć. Wszystkie objawy te występują jednakże tylko u ludzi nie przywykłych do pędzenia życia na tak znacznej wysokości, a więc nie znoszących przebywania w atmosferze o tak małym ciśnieniu, albowiem np. na Himalajach i w Tybecie znajdują się miasta wzniesione na 4220 do 4980 metrów nad powierzchnią morza. Złe zatem, jak widzimy, tkwi tylko w raptownym przejściu.

Ludzie, pracujący nad przebicciem tunelu w Andach, doznawali powyższych objawów choroby górskiej tylko przez pewien ograniczony przeciąg czasu; później, po upływie jednego lub dwóch tygodni, przywykali prawie wszyscy do tak zmniejszonego ciśnienia atmosferycznego i czuli się zupełnie zdrowymi.

Co do warunków, w jakich występuje choroba górską, to według Pawła Bert'a mieszkaniem doliny wzniesionej np. na 1000 metrów nad powierzchnią morza, wstępując na górę do wysokości 3000 metrów, nie odczuje żadnych zmian w stanie zdrowia, chociaż niewątpliwie skutkiem zmniejszonego ciśnienia atmosferycznego nastąpi przyspieszenie oddechu i uderzeń serca. Płuca bowiem, a co za tem idzie, i serce, pracować muszą ze zwiększoną energią, aby przyswoić organizmowi niezbędną ilość tlenu. Powyżej 3.000 metrów, aż do 4.000 przypadłości te stopniowo wzrastają, zaś jeszcze wyżej, już wznoszenie się o każde paręset metrów oddziaływa na wzrost natężenia w zaburzeniach.

Zresztą doświadczenie wykazało, że wysokość, na jakiej występują zaburzenia w organizmie, zależną jest od miejscowości. I tak w Alpach pewne zaburzenia pojawiają się już na wysokości 3.000 m. Na wulkanach oceanu Spokojnego przewyższających 4.000 m. ludzie podobno nie podlegają chorobie górskiej. Tosamo stwierdzono i na Górach Kameruńskich. W Meksyku doznaje się dopiero zaburzeń w zdrowiu powyżej 4.500 metrów.

Nie podlega wątpliwości, że oddziaływa tu bardzo wiele usposobienie indywidualne. Wiadomo, że niektóre osoby nie doznają wcale choroby morskiej; podobnie dzieje się i z chorobą górską. Daleko lepiej znoszą wycieczki w góry takie osoby, które od dzieciństwa do nich przywykły. Niemały także wpływ wywiera zmęczenie. Odpoczywając należycie i dosyć często, można uniknąć choroby.

Choroba górską dotąd nie została jeszcze dokładnie zbadaną, nie posiadamy również środka radykalnie zabezpieczającego od niej; zalecone bowiem przez Pawła Bert'a wdechowanie tlenu, nie okazało się w praktyce w zupełności zadawalającym. W celu orzeczenia: czy zdrowie ludzkie przy wznoszeniu się z doliny Lauterbrunnen na szczyt góry Jungfrau podlegać będzie zaburzeniom? wypadałoby w tej miejscowości przeprowadzić szereg doświadczeń przy pomocy balonu *captif*.

Po rozważaniu wszystkich *pro* i *contra* uczeni szwajcarscy doszli do następujących wniosków:

a) Przedsięwzięcie nie powinno pod względem technicznym natrafić na żadne przeszkody;

b) Co do zdrowia, należy się powstrzymać z udzieleniem koncessji, dopóki przedsięwzięcie nie dowioda zupełnego bezpieczeństwa;

c) Zbudowanie kolei do wysokości 3000 m. nie powinno być tamowaniem z pobudek zdrowia publicznego.

*

*

*

Inżynierowie amerykańscy pracują również nad projektem mającym na celu dostarczenie zwiedzającym przyszłą wystawę w Chicago silnych wrażeń.

Nie mniej nie więcej idzie im o to, aby w odpowiednio zbudowanej klatce zrzucić z wyższej wieży jak eiffłowska, gwoździ doznania przyjemnego wrażenia, ludzi na ziemię.

Otóż klatka owa, w której można będzie pomieścić do 15 osób, zbudowaną ma być w kształcie olbrzymiego pocisku działowego i... ponieważ rzucona na ziemię z podobnej wysokości sprawiłaby zbyt silne wstrząśnienie, będą ją rzucać w odpowiedniej głębokości basen napełniony wodą... *e sempre bene*.

Pocisk tego rodzaju po przebieżeniu 100 metrów, nabierze prędkości 45 metrów na sekundę, o 400 metrów niżej spadać już będzie z szybkością 65, a jeszcze niżej dosięgać 77 m. na sekundę.

Klatka ma mieć kształt ostrokągu, a obliczenia pana Ch. Carron, inżyniera z Grenoble wykazały, że nie (?) nie staje na przeszkodzie do zbudowania podobnego przyrządu i zrzucaniu go z wysokości 3000 metrów w wodę.

Wrażenie wywołane w podobny sposób, ma być nadzwyczaj przyjemnem. Zabawka ta prawdopodobnie stanowić będzie *great attraction* wystawy, mającej się odbyć w Chicago, na uczczenie 400 rocznicy odkrycia Ameryki; z pewnością nie zabraknie *Yankees* chciwych tego rodzaju wrażeń: życzymy zatem szczęśliwej podróży!...

* * *

Człowiek od najdawniejszych czasów nie może pogodzić się z myślą: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz“. Starał się wszystkimi sposobami o zachowanie form ziemskich po śmierci. W starożytnym Egipcie istniały specjalne zakłady, w których trupy ludzi poddawano rozlicznym manipulacjom, mającym na celu konserwowanie ciała przez czas jaknajdłuższy. Tego rodzaju mumifikacja zasadzała się na nurzeniu ciała w specjalnie przyrządzonej wodzie, nacieraniu balsamami, owijaniu w powijaki; była to rzecz wielce kosztowna i w rezultacie kształty i kolor ciała podlegały znacznym przemianom.

W naszych czasach sztuka balsamowania ciała nie owiele posunęła się naprzód. Zasadza się ona na zastrzykiwaniu w naczynia krwionośne substancji przeciwniejących, stojących na przeszkodzie rozwojowi drobnoustrojów, spowodujących rozkład. Wystarcza to na pewien czas; zresztą mało kto dba o to, co się stanie z trupem po umieszczeniu go w trumnie.

Obecnie jeden z ordynatorów szpitali paryskich, D-r Variot, zaproponował nową metodę przechowywania ciał ludzkich, mianowicie przez powleknięcie galwaniczne warstwą metalu, jak np. złota, srebra lub miedzi.

Odbывается się to w następujący sposób. Przede wszystkim w celu uczynienia skóry dobrym przewodnikiem elektryczności naciera się ją roztworem saletranu srebra (kamienia piekielnego), przyczem skóra nabiera, wszystkim dobrze znanego, ciemnego zabarwienia. Następnie umieszcza się ciało pod dzwonem maszyny pneumatycznej i napuszcza się parą fosforu w celu zredukowania srebra, przyczem skóra nabiera odcienia szaro-białawego. Jest to znak, że stała się już dobrym przewodnikiem elektryczności. Wtedy można już ciało pograć w kąpiel z roztworu siarczanu miedzi. Następne powleczenie ciała warstwą metalu niczem nie różni się od zwykłej galwanoplastyki. Pod wpływem działania elektryczności sól miedzi, znajdująca się w roztworze, rozkłada się, a czysta miedź osadza się na powierzchni ciała zupełnie jak srebro na łyżce, lub na innym przedmiocie, mający wytworzyć tak zwane *nowe srebro* (Neusilber) — wyrób platerowany.

W ten sposób otrzymujemy najzupełniej identyczne kształty z naturalnymi. Do nadania ciała trwałości i sztywności wystarcza najzupełniej warstwa metalu grubości od $\frac{1}{2}$ do $\frac{3}{4}$ milimetra. Grubsza warstwa sprawia, że rysy twarzy się zacierają.

Prawdopodobnie nikt w ten sposób ciała konserwować nie będzie z powodu drogocności takiej procedury, posiada ona jednakże doniosłość w zachowywaniu preparatów anatomicznych, które, jak wiadomo, bardzo szybko ulegają zepsuciu i pod tym względem odkrycie D-ra Variot jest niezaprzeczenie doniosłem.

* * *

Mort Koch! vive Liebreich! Po wątpliwych komunikatach prof. Kocha o leczeniu gruźlicy za pomocą „tuberkuliny“, otrzymujemy wiadomość z Berlina o odkryciu dokonanym przez prof. Liebreicha, znanego chemika, któremu zawdzięczamy już odkrycie wodoru chloralu, doskonałego środka na sen, kwasu salicylowego, lanoliny działającej przeciwnie, i t. p.

Otóż uczony ten przedsięwziął przed miesiącem doświadczenia na chorych dotkniętych gruźlicą krtani i podobno osiągnął dodatnie rezultaty. Na wstępie zaraz zaznaczyć wypada, że Liebreich nie robił z odkrycia swego sekretu, lecz wyjawiał metodę swą na posiedzeniu lekarzy berlińskich. Zasadza się ona na zastrzykiwaniu pod skórę potasu kantarydynowego. Głównym czynnikiem jest tu kantarydyna, która, według doświadczeń robionych na królikach, wstrzyknięta im do krwi wywoływała bardzo znaczny wysięk do pęcherzyków płucnych. Otóż wysięk krwi, czyli jej surowica posiada w wysokim stopniu własności dezynfekcyjne — mianowicie osłabia żywotność laseczników gruźliczych.

Wyniki z otrzymanych prób na chorych pozwalają rokować wielkie nadzieje. Doniosłość odkrycia liebreichowskiego stwierdzają doktorzy Heyman i Fraenkel; ten ostatni okazywał chorych z zabliznionymi owrzodzeniami krtani. Nadmienić potrzeba: że zastosowanie właściwej ilości środka, t. j. od $\frac{1}{50}$ decimiligrama do dwóch decimiligramów nie spowoduje żadnych zaburzeń w organizmie chorego.

Professor Virchow, który wydał w początkach tak niepoehlebny sąd o odkryciu Kocha, przyznaje liebreichowskiemu pewną doniosłość.

Być może, że teraz jesteśmy na drodze właściwej w przywracaniu zdrowia nieszczęśliwym suchotnikom!

Dr. Józef Starkman.

Kronika działalności kobiecej.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że projekt równouprawnienia w Rosyi kobiet w kwestyi spadkowej już opracowanym został przez biuro odnośniego ministerium i wkrótce ogłoszonym zostanie.

— Petersburgskie stowarzyszenie rozszerzania między kobietami nauki odpowiednich rzemiosł założy wkrótce muzeum wzorowych robót kobiecych, oraz urządzi kursa, gdzie prowadzić się będzie rzemiosł tych nauka.

— Hr. Augustowa Potocka z Willanewa spełniła czyn rzadkiej, szlachetnej, wspaniałej hojności — ofiarowała 300.000 rs., to jest dwa miliony złotych na budowę kościoła przy ulicy Dzielnej i Nowolipki. Te okolice miasta cierpią już od dawna na brak świątyni; kościół pokarmelicki Najświętszej Panny na Lesznie szczupły jest i nie mógł też pomieścić ludzi cisnących się tam na nabożeństwa w Niedzielę i święta. Parafianie zaczęli przemyślać o rozszerzeniu świątyni, gdy nieżyjący już obecnie ś. p. Józef Mikucki czyni ofiarę z gruntu, na którym wznosiła się posesya jego N-r 2.371 przy zbiegu ulicy Dzielnej i Nowolipki. Dar to był znaczny, ale dający dopiero pierwszą podstawę działania, gdy oto zacna pani przez poczciwie obywatelską hojność rzecz umożliwia i zapisuje przytem nazwisko swoje między dobrze społeczeństwu swojemu za-

służonymi ludźmi. Rozporządzenie ofiarowanym funduszem przebrane zostało na p. Lud. Górskiego, który złożył już magistratowi Warszawy kosztorys i plan mającej się budować świątyni, sporządzony przez budowniczych, p. p. Edwarda Cichowskiego i Józefa Hussa. Będzie ona zbudowaną w stylu romańskim o pięciu nawach, z jedną na lewym skrzydle wieżą kwadratową, na 100 łokci wysoką. Gmach pomieścić może więcej niż 4.000 osób.

— P. Stanisława Przewóska otworzyła przy ulicy Marszałkowskiej N-r 95 szkołę zawodową dla kobiet, to jest szkołę rzemiosł kobiecych, starając się, aby były to środki zapewniające uczennicom zarobek w przyszłości. Nauczanie obejmuje wyroby z drutu, które, jak prospekt nowej szkoły ogłasza, są obecnie w przedmiotach galanterijnych sprowadzane z zagranicy; reparacją przedmiotów sztuki, wyroby z piór, kunsztowne cerowanie. Zabiegi wytworzenia kobiecie naszej rzemiosł chlebobdajnych, tych zwłaszcza, które zatamowałyby w gałęziach odpowiadających siłom kobiety przywóz zagraniczny, uważać należy za chwalebne i pożądane — tem pożądańsze, że dotychczas działa się przeciwnie. Naśladować chciano naosłep zagranicę, gdzie warunki pracy kobiecej są zupełnie inne, naśladowano przytem bardzo lichy, tak, że owe nieprzeliczone malowidła na szkle, na porcelanie stały się bardzo mało pożądanym i niepożytecznym zawałaniem wystaw naszych z czasów ostatnich. Były też również niefortunne pokuszenia się w kierunku rzemiosł przechodzących siły kobiece, jak szewstwo, oprawianie książek, ale i to upadło powoli, jak wszelka rzecz, która jest w niezgodzie z naturą. Szkoła mieć będzie na każdym wydziale jedną uczennicę bezpłatną.

— Posiadamy w Warszawie dwie, istniejące już od lat kilku, szkoły i zarazem pracownie koronek; obecnie przybywa trzecia. Pragnąca wytworzyć fabrykę koronek na większą skalę, p. Teofila Zalewska, otwierając ją, ogłasza, że uczyła się koronkarstwa przez lat dwa w Belgii, ojeźdźnie sławnych koronek brabantkich, następnie praktykowała w najlepszych koronczarniach tamtejszych, obecnie zaś przy pomocy sześciu sprowadzonych z Belgii robotnic otwiera, w połączeniu ze szkołą — fabrykę.

— P. Alexandra Korycińska, prowadząca z powodzeniem w mieście naszym szkołę rzemiosł dla kobiet, otrzymała pozwolenie na utworzenie higieniczno-gymnastycznego zakładu dla kobiet i dzieci do lat dwunastu. Zakres działania i obowiązki zakładu są: 1) Leczenie za pomocą gymnastyki różnych chorób chronicznych i skrzywień ciała. 2) Posiadanie wszelkich przyrządów potrzebnych do gymnastyki higienicznej. 3) Ogólny kierunek ćwiczeń gymnastycznych prowadzić ma lekarz, obowiązany do osobistego nadzorowania ćwiczeń, przy których powinien być zawsze obecnym. 4) Opłata miesięczna za uczęszczanie do zakładu od 3 do 6 rs.

— W Częstochowie ma być wkrótce otwartą szkołą rzemiosł kobiecych.

— Na niedobór pracy pań wiejskich — wskutek braku ochrony po wsiach — zaliczyć trzeba szereg okrutnych wypadków spalenia się żywcem w czasach ostatnich ośmiorga dzieci, zostawionych w chatkach bez dozoru. „Gazeta Świąteczna“, z uczciwie ciurzejską pragnieniem poprawienia tego smutnego stanu wsi naszych, podała w żałobnej tej liście obok imion i nazwisk biednych ofiar, także i nazwy wsi, oraz powiatów, więc wiarogodność wypadków nie ulega wątpliwości.

— Jako poczucie się do obowiązku osób możnych dawania zarobku pracującym siłom naszym i nie wyprowadzania pieniędzy z kraju należy wymienić uczciwy czyn p. H., mieszkanki Królestwa, wydającej córkę za mąż w Paryżu, gdzie przebywa obecnie. Całkowita wyprawa, kosztująca przeszło 6.000 rs., została zamówioną w Warszawie.

— Na konkursie ogłoszonym przez redakcyę wiedeńskiego czasopisma dla kobiet: „Wiener Mode“ otrzymała medal za domowe wyroby tkackie p. Marya Finzi, utrzymująca we Lwowie szkołę wyrobów tkackich dla kobiet.

— Grono pań krakowskich postanowiło zakupić za grosz składkowy popiersie Mickiewicza wykute w marmurze przez Marcelego Gujskiego, a to z celem umieszczenia go w kościele katedralnym. Na czele stoi tu hr. Stanisławowa Tarnowska. Projekt zostanie wkrótce urzeczywistniony i poprzedzi odsłonięcie i ustawienie nakonec pomnika.

— Między członkami — opiekunami krakowskiej czytelnicy dla młodzieży znajduje się pań sześć: Brazonowa, Fiszerowa, Jakubowska, Jasińska, Mazarakowa i hr. Andrzejowa Potocka.

— Bezpłatna szkoła dla sług wyznania mojżeszowego zostanie wkrótce założoną w Krakowie. Odpowiadając ludowym szkołom niedzielnym, będzie to szkoła sobotnia, urządzona staraniem i kiesztem miejscowego zboru izraelskiego. Nauczycielki — izraelitki, oświadczyły gotowość nauczania bezpłatnie.

— Sędziwa pani, Francuzka, Ludwika de Briges, po śmierci ostatniego z prawnych sukcesorów swoich, zapisała ogromny swój majątek, osiemnaście milionów franków, kardynałowi Lavigierowi, zostawiając sobie skromne dożywocie. Tej pani wolno to było uczynić i nawet ze względu na fakt, że pozbawiała się majątku jeszcze za życia, uważać można czyn spełniony za szlachetny, bo ekonomiczne położenie Francji pozwala na ten szczęśliwy zbytek opatrywania nieszczęść międzynarodowych. Gdyby przecież była ona córką krainy ubogiej, gdzie tysiące nędznych dusz i ciało potrzebuje opatrzenia, każdy grosz, gdzieś poza granice wyprowadzony, padałby ciężarem nie tylko ekonomicznego grzechu na jej duszę.

— Dziełom miłosierdzia poświęcone stowarzyszenie kobiece bardzo rozpowszechnione we Francji: „Stowarzyszenie sióstr Sgo Wincentego a Paulo“ przedstawia obraz godny podziwienia i wykazujący, co może dokazać zespolenie sił. Stowarzyszone czynią słuby jakoby zakonne na rok jeden tylko, i jest to właściwie oddanie się jednoročné nauce spełniania uczynków miłosiernych według pewnej metody — pewnego planu, który się wykonywa wspólnymi siłami stowarzyszonych. Dzień 25 Marca jest corocznie oznaczonym dniem owych słubów; obowiązki sióstr po terminie wyżej wymienionego czasu tak są określone: „Klasztorem ich są domy chorych, kaplica — kościół ich parafialny, celą — sale szpitalne. Zamiast welonu należy im nosić w sobie pokorę i czystość, a słubami posłuszeństwa jest miłość Boga i bliźnich.“ Stowarzyszenie posiada we Francji i w Europie 2.434 zakładów, gdzie uczy się 185.000 dzieci, pielęgnuje się 48.635 chorych. Przecież działalność stowarzyszenia nie podlega żadnemu określeniu terytoryalnemu, działają też one niemal we wszystkich krajach Europy, w Azji, w Ameryce, w Afryce nawet. W Egipcie mają 328 zakładów, gdzie wychowują 32.978 dzieci różnych narodowości i wszelkich wyznań. W szpitalach swoich opatrują 75.950 chorych.

— Francuzka pani, Aniela de Ceran, zapisała miastu Amiens na wzniesienie szpitala dla dzieci 500.000 franków.

— W Rouen zawiązało się godne naśladowania dla wszystkich mieszanek miast pomniejszych stowarzyszenie pań z celem wzajemnego kształcenia się umysłowo. Środkiem jest tu urządzenie odpowiedniej, składkowym groszem utrzymywanej czytelnicy własnej, zbierania się dla uwagi nad tem co czytały i nie tylko słowno, lecz według woli piśmiennie dokonywanego ich rozbiór. Pani tego stowarzyszenia postanowiły kolejno miewać odczyty dla kobiet, ze szczególnym względem na klasy mniej oświecone.

Odczyty te są bezpłatne i tylko z dowolnym wkładem do puszek na zakup dzieł dla szkół niedzielnych kobiecych.

— Znana czytelnikom pisma naszego córka znacznej rodziny alzackiej, przesiedlonej do Paryża po nieszczęściach Francji, D-r Klumpke, którą Akademia francuska odznaczyła kilkakrotnie przyznaniem nagród i wzmianek zaszczytnych, obecnie otrzymała za dzieło naukowe z zakresu medycyny popularnej, nagrodę podobną.

— Trzy panie francuzki: Róża Caron, Zuzanna Reichenberg i Kamilia Flammarion otrzymały od Akademii Francuskiej tytuł urzędniczek oświecenia publicznego; pp. Jakubowa Rothschild i Franciszka Adini — tytuł urzędniczek Akademii Francuskiej.

— Magistrat Kopenhagi i rada gminna tego miasta otrzymały petycją podpisaną przez 5.800 kobiet, proszących o otwarcie im jednej z sal publicznych miasta, gdzie zgromadzałyby mogły dzieci tych rodzin, których matki, podobnie jak ojcowie, zajęte są pracą na chleb. Dzieci takich robotnic przez dzień cały zostawione bez dozoru psują się i zarazem cierpią wiele braków, zebrane zaś razem i osłonięte odpowiednią opieką wychowywałyby się na uczciwych i pracowitych ludzi z pewnem rozjaśnieniem już myśli. Dalej panie wspomniane prosiły, aby mogły otrzymać w tymże gmachu, gdyby można obok owej sali, izbę, gdzieby starsze uczennice szkół miejskich mogły się uczyć gotowania i przygotować ciepłe jedzenie dla owych zebranych w sąsiedztwie dzieci. Magistrat miasta przyjął petycję narysowaną z wielkimi oznakami uszanowania i w zasadzie przychylił się do ich żądania.

— Angielskie stowarzyszenie nauczycielek wniosło do lorda-mayora Londynu petycją proszącą o dopuszczenie kobiet na świeżo otwarte w Londynie przez gminę miejską wykłady z zakresu wiadomości handlowych i przemysłowych. Żądanie ich otrzymało natychmiast odpowiedź przychylną i uprawnienie najzupełniejsze kobiet ze słuchaczami mężczyzn.

— Uniwersytet Oxfordzki oddalił 79 głosami przeciwko 75 żądanie słuchaczek wydziału merytorycznego, żądających przypuszczenia do egzaminów na stopnie doktorów.

Z bieżącej chwili.

— Dzienniki petersburskie donoszą, że w sferach rządowych postanowiono zwiększyć karę za pojedynki.

— W Moskwie, Tyflisie i kilku innych miastach mają być wzniesione muzea rzemieślnicze. W 1893 r. odbędzie się w Moskwie zjazd przedstawicieli nauczania zawodowego i przemysłu.

— Konkurs rzeźbiarski na pomnik dla Moniuszki, który ma stanąć w foyer Wielkiego Teatru, można nazwać dziełem Mierzińskiego, gdyż nie tylko złożył on na ten cel 2.400 rs., to jest cały dochód z danego koncertu, ale zajął się bardzo gorliwie tą sprawą. Warunki konkursu są nieograniczone, termin nadsyłania planów konkursowych sześciotygodniowy. Na sędziów zaprosił Mierziński p. p. Wł. Bogusławskiego, Gersona, Bron. Żochowskiego, Struvego i Matuzińskiego.

— Pamiętniki Kostrzewskiego ukazały się na półkach księgarskich. Wysły jednocześnie „Listy do młodzieńca o wyborze stanu“ Dr. J.

Tchórznickiego, wydane nakładem księgarni Teodora Paprockiego. „Praktyczny przewodnik wychowania“ przez H. Wernica nakładem księgarni Cetnerszvera i „Hygiena Piękności“ przez Montegazzę nakładem tejże księgarni. Włoski autor zrobił tym razem czytającej publiczności niespodziankę. Przypuścić było można na zasadzie jego dzieł dawnych, że to będzie jakaś duchowa hygiena piękności ludzkiej, oddziaływanie myśli, uczucia na wyraz oblicza, na kształtowanie się rysów i członków. Pierwszy rozdział jest też taką świeczką, postawioną literackiej godności autora, potem jest to poprostu hygiena piękności, idąca aż do recept na pomady, na kosmetyki.

— Sprawozdanie „Towarzystwa Sztuk Pięknych“, wykazuje, iż w roku zeszłym wystawiono w salach Towarzystwa 650 dzieł; dochód roczny przyniósł 32,806 rs., rozchód 19,606 rs. Po wydatkach na zakup dzieł sztuki do rozłozowania i na konkurs, po odtrąceniu 2 procent na kapitał zasobowy, pozostało 1,380 rs. rewanżu. W ciągu roku Towarzystwo miało 5 stypendystów, w jego sali rysunkowej korzystało bezpłatnie 16 malarzy i rzeźbiarzy ze studyowania żywych modeli.

— Czasopismo francuskie „La pomologie française“ zamieściło artykuł p. Ed. Jankowskiego w przedmiocie utworzenia międzynarodowej stacji ogrodniczej doświadczalnej. Redakcja francuskiego pisma projekt żywo popiera i pisze, że ogrodnicy francuzcy poświęcą tu znaczne kapitały.

— We Lwowie zmarł uczony historyk, człowiek szlachetny i wielce szanowany, professor tamtejszego uniwersytetu, Ksawery Liske; urodzony 1838 r. w Szląskowie, w Księstwie Poznańskim, studia odbywał na uniwersytecie berlińskim i lipskim. Następnie habilitował się na docenta historii powszechnej na uniwersytecie lwowskim, gdzie w 1871 r. został profesorem. Obok wykładów historii, gromadzących licznie słuchaczy, położył on znaczne zasługi jako historyograf, dopatrujący się w dziejach myśli głębszej, idei przewodniej. Jedną z pierwszych prac swoich drukował w Warszawie w „Wieku“. Pisał i drukował dużo poematów, pisał i drukował w języku szwedzkim, duńskim i hiszpańskim, jedynając sobie wszędzie uznanie i sławę człowieka wielkiej nauki i wyższego umysłu. Celem tych prac w językach obcych była chęć zapoznania cudzoziemców z materiałami źródłowymi odnoszącymi się do ich dziejów, a znajdującymi się w archiwach i bibliotekach naszych. Powołany na dyrektora archiwum „Aktów ziemskim i grodzkich“ we Lwowie, wydał trzynastę tomów „Zapisków Sądowych“, przeważnie z czasów przed 1507 r. i dzieło „Studia z dziejów XVI wieku“. Drukował obok tego wiele monografii historycznych, będąc przytem wszystkim niepospolitym nauczycielem, który wykształcił grono całe młodych historyografów. Jako redaktor „Kwartalnika historycznego“ zasłużył się też kołu czytelników rzeczy dziejowych, a razem był człowiekiem wielkiej pracy, wielkiej cnoty i szlachetności.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczy“ dołącza się Arkusz 19-ty powieści pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, przekład z angielskiego.

TREŚĆ: Prawda w wychowaniu, przez M. Illicką. — Hrywda. Powieść, przez Maryę Rodziewicz, (dalszy ciąg). — Nowiny Paryżkie. — Kobieta w Ameryce (dalszy ciąg). — Zdziały przyrody. Kronika najnowszych wynalazków i odkryć naukowych, przez Dr. Józefa Starkmana. — Kronika działalności kobiecej. — Z bieżącej chwili.

Dodatek obejmuje: Arkusz 19-ty powieści, pod tytułem: **Ordynat na Ballantrae**, przez Roberta Ludwika Stevensona, Przekład z angielskiego. — Przegląd mód. — 35 wzorów ubiorów i robót z opisem. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycja stołu.**

Koronka (robotą szydełkową).

Rycina Nr 24 w Bl. Nr 10.

Koronka wykonana krętą bawełną koloru „crème.“ — 1 kolej: * 17 powietrznych oczek, 3 słupki w oczko po odwrotnej stronie 3 z ostatnich pow. o., 5 pow. o., 5 o. przyczepić do 17-o, 5 ścis. łań. o. w 5 do 1 poprzednich 5 pow. o., 1 pikot czyli 4 pow. o. i 1 ścis. o. w poprzedni słup. Na drugą połowę łuku 2 sł. w tą żyłkę, w której przerobiono 3 sł., 2 pow. o., 1 ścis. łań. o. w żyłkę, w której przerobiono 5 sł. poprzedniego łuku, 2 razy 1 łuk z 3 pow. o., 5 sł. w żyłkę po odwrotnej stronie 1 z tychże, 2 pow. o., 1 ścis. łań. ocz. w żyłkę, w której przerobiono 5 sł., potem 5 ścis. łań. ocz. w 14 do 10 przedtem wykonanych 17 pow. o., 10 pow. o. przyczepić do środkowego sł. ostatniego łuku, 5 ścis. łań. o. w 10 do 6 ostatn. 10 pow. o., 9 pow. o., 1 pik. jak wyż., 5 pow. o. przyczepić jak poprzednio, 2 pow. o., 1 ścis. łań. o. w 3 z 5 pow. o., 9 pow. o. środkowego sł. przyczepić do środkowego łuku; 1 pow. ocz., 1 ścis. łań. ocz. w 8 z 9 pow. o., 7 pow. o. przyczepić do środkowej żyłki 1-go pik.; 9 ścis. ocz. w poprzednie 7 pow. o., 1 ścis. o. w ocz., w którym ostatnie ścis. łań. o. przerobiono; 9 ścis. ocz. w wolne jeszcze 7 poprzednio przerobionych 9 pow. o., 1 ścis. ocz. w następne wolne ocz., 7 pow. o. przyczepić do 5 poprzednich 9 ścis. o., 1 pow. o., 1 ścis. łań. o. w 6 z 7 pow. o., 1 pik. w 1 o. z tychże, 6 pow. ocz., 1 pik., 3 pow. ocz. przyczepić do 4 przed ścis. o. znajdującego się ścis. o. poprzednio przyczepionego; 2 pow. o., 1 ścis. łań. o. w 1 z 3 pow. poprzednich ocz., od 1 jeszcze 1 raz powtórzyć, następnie 1 pik., 6 pow. o., 1 pik., 2 pow. o. przyczepić do 4 ścis. o. poprzednio przyczepionego, 1 pow. ocz., 1 ścis. o. w 1 poprzednich 2 pow. ocz., 5 pow. ocz. przyczepić do środkowego 1-go pikotu; 7 ścis. ocz. w poprzednie 5 pow. ocz., 3 razy po 10 ścis. ocz. w następ. 6 pow. ocz., potem 7 pow. o. w następ. 5 pow. o., 1 ścis. łań. ocz. w następ. wolne ocz., 9 pow. o., 2 ścis. łań. o. w 3 i 4 pow. ocz. nad następ. pik., od * powtórzyć, ale przy każdym powtórzeniu przyczepiać środkowe ocz. 1-go pik. do środkowego o. ostatnich 9 pow. o., czwarte zaś do 1 z 7 ścis. ocz., środkowe ostatnich 7 ścis. o. do poprzedniego wzoru. — 2 kolej: po drugiej stronie koronki 1 słup. w następ. o., * 3 pow. o., 1 słup. w to samo ocz., w którym przerobiono poprzedni sł., ale go nie przeraabiać, 1 słup., którego górną żyłkę razem z poprzed. sł. przerobić w 3 o., od * powtórzyć.

Serwetka (ścieg płaski i krzyżowy).

Rycina Nr 29—31 w Bl. Nr 10.

Serwetka 80 cent. w kwadrat, złożona z 5 galonów ozdobionych haftem i połączonych z sobą a mianowicie: 1 galon koloru złotego, 2 koloru brązowego i 2

popielato - zielonego. Otoczenie wykonane szydełkiem. Żółty galon środkowy, jako też dwa brzeżne popielato - zielone ozdobione figurami wykonanymi ścięciem krzyżowym i płaskim a częścią otaczanymi ścięciem ze złotego sznureczka. Nr 31 przedstawia wzór szlaków środkowego i brzeżnych, Nr zaś 29 deseń na dwa pozostałe szlaki. Poprzeczne rzędy fig. 31 wykonać ścięciem krzyżowym, każdy przez 4 podwójne nitki wysokości i przez 2 podwójne nitki wysok. (czyli że należy wykonać 2 rodzaje ścięgu krzyżowego. Figury wypełnione bawełną niebieską otaczać cienkim złotym sznureczkiem ścięciem długim. Na szlakach popielato-zielonych niebieskie fig. przetykać bawełną brązowego koloru, a brązowe bawełną żółtą. Ząbki otaczające wykonane szydełkiem podaliśmy w Bl. Nr 36 roku zeszłego str. 158 ryc. Nr 29.

Suknia spacerowa z sukna ozdobiona sutaszem.

Rycina Nr 2. (Krój odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 60 i 61).

Suknia z sukna koloru popielatego przybrana czarnym aksamitem i tegoż koloru sutaszem, który może być zastąpiony haftem maszynowym,

albo ścięciem łańcuszkowym. Spódnica z podszewki wykonana zwykłym sposobem, wierzchnia zaś nieco drapowana, z przodu ułożona w tylnej części w kontrafaldy. Stanik z połami ozdobiony napiersnikiem ułożonym w faldy z „surah“ koloru popielatego zakończonym pół-paskiem. Kołnierzy wyłożony i „Médicis“ z aksamitu.

Torebka „Pompadour“ ozdobiona haftem.

Rycina Nr 3 i 5.

Torebka z pluszu koloru ciemno-ponsowego w wyciskane kwadraty. Skroić część pluszu 40 c. wys. a 20 c. szer. i złożyć takową na połowę na wzdłuż wysokości. Stronę wierzchnią ozdobić haftem podług ryc. Nr 3, filozelą rozpolowioną naprzemian kolorami: oliwkowym, jasno-ceglastym i jasno-niebieskim; pomiędzy figurami wykonać ścięciem krzyżowym podług ryc. paski złotą japońską nitką. Dla ułatwienia roboty, należy odpowiednio do haftu materiał podziurkować. Po wykończeniu haftu, połączyć części z obydwóch boków, dolne rogi skroić trochę ukośnie. W górnym brzegu przyszyć część pluszu 8 cent. wysok., pozostawiając boki otwarte, zaopatrzyć torebkę podszewką z atlasu koloru ponsowego i prze-

ciągnąć krzyżowo sznureczkiem na 5½ centimetra od górnego brzegu. Dolny brzeg ozdobić kwascikami z ponsowego jedwabiu i złotego cienkiego sznureczka.

Serwetka na pianino (robotą krzyżową).

Rycina Nr 4 i 7.

Serwetka wykonana na suknie koloru brązowego dziurkowanego odpowiedni do deseniu. Ryc. Nr 7 przedstawia deseń wykonany ścięciem krzyżowym, który zamiast dziurkowania można wykonać na tkaninie kanwowej a następnie nitki kanwowe powyciągać. Haft wykonać filozelą. Zaopatrzyć podszewkę z lekkiego jedwabiu i otoczyć jedwabnym sznurem.

Ozdoba na ścianę z torebką. Malowidło i haft płaski.

Rycina Nr 6.

Torebka wykonana z dwóch palmowych liści 35 i 30 cent. wysokości pokrytych atlasem niebieskim, ozdobionym częścią malowidłem, częścią haftem. Ptak i motyl malowane, kwiaty zaś haftowane filozelą na wypukłym podkładzie z bawełny. Otoczenie mniejszego i większego liścia z wstążeczki atlasowej niebieskiej 2½ cent. szer. układanej w kontrafaldy. Kokardy z takiejże wstążki i bąbelki z jedwabnymi sznureczkami po bokach wykończają całość.



Nr 1. Suknia z sukna ozdobiona pasmanterią. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VI, fig. 42—46).

Nr 2. Suknia spacerowa z sukna ozdobiona sutaszem. (Deseń odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 60—61).

Chusteczki do nosa z krepy chińskiej.

Rycina Nr 8 i 9.

Chusteczka Nr 8 wykonana z części krepy 32 c. w kwadrat, brzeg haftowany jedwabiem żółtym i różowym.

Chusteczka Nr 9, z krepy 30 c. w kwadrat, girlanda z liści wykonana jedwabiem żółtym i różowym.



Nr 4. Serweta na pianino (do ryc. 7).
Ścieg krzyżowy.

Pelerynka (robotą szydełkową).

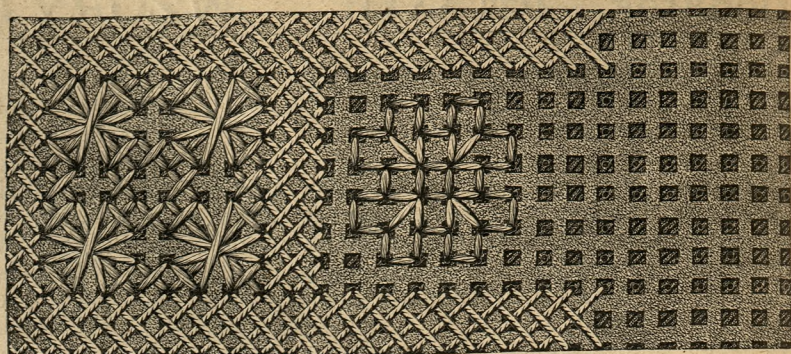
Rycina Nr 12 i 13. (Krój odwr str. tabl. Nr VIII, fig. 57 — 59).

Pelerynka wykonana szydełkiem częścią włóczką koloru czarnego „zefir“, częścią wstążeczką sznelową. Fren-



Nr 7. Deseń na serwetę ryc. Nr 4.

■ 1-szy ciemno-oliwkowy, □ 2-gi jaśniejszy, ▣ 3-ci najjaśniejszy oliwkowy, □ ciemno-żółty, □ jasno-żółty, ■ 1-szy ciemny lila, □ 2-gi jaśniejszy, ▣ 3-ci najjaśniejszy lila, * 1-szy ciemno-ponsowy, 2-gi □ jaśniejszy, ▣ 3-ci najjaśniejszy ponsowy, □ 1-szy ciemny niebieski, ▣ 2-gi jaśniejszy, ▣ 3-ci najjaśniejszy niebieski, ' tło.



Nr 3 Część haftu do ryc. Nr 5 (wielkość oryginalna).

dzla ze szneli wykończą całość. Rozpocząć od dolnego brzegu fig. 58 na założeniu 8 powietrznych oczek tam i napowrót jak następuje: 1 kolej: 3 ocz. opuścić, 1 ścisłe ocz. w następne ocz., 3 pow. ocz., 1 ścis. oczko w 4 z rzędu oczek. — 2 kolej: na 1-m przepuszczenie: 5 pow. ocz.; razem przerobić 1-m ścisłem oczkiem górną żyłkę środkowego z 3 opuszczonych ocz. z jedną żyłką środkową z następ. 3 pow. ocz. poprzedniej kolei; 3 pow. oczka, 1 ścis. oczko w środkowe z 3-ch następ. opuszczonych oczek. — 3 kolej: 5 pow. ocz., 2 razy naprzemian: przerob. 1 ścis. oczko przednią żyłkę następ. ścis. ocz. 1-ej kolei z żyłką z środkowych 3 powietrz. oczek, zamiast ostatnich 3 pow. ocz., tylko 1 pow. ocz. i 1 ścisłe oczko w 2 z rzędu ocz. — 4 kolej: 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w przednią żyłkę następ. ścis.



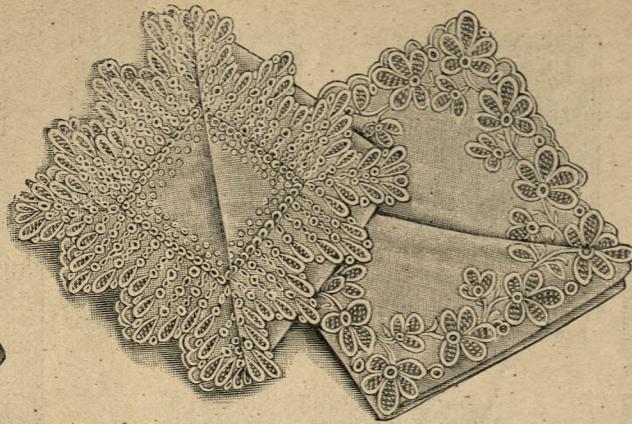
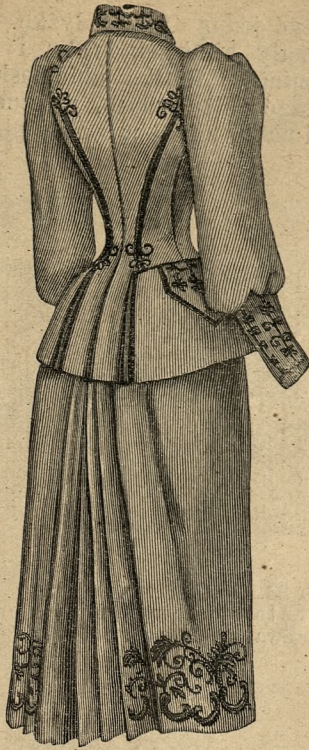
Nr 5. Torebka „Pompadour“ ozdobiona haftem (do ryc. Nr 3).



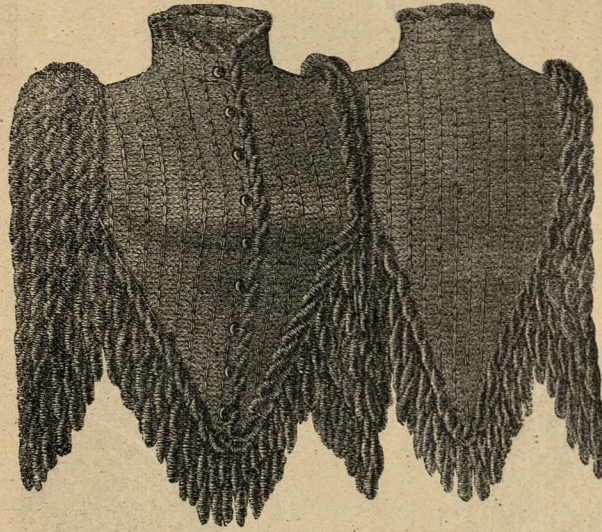
Nr 6. Dekoracja na ścianę ozdobiona malowidłem i haftem.

ocz., potem dwa razy naprzemian 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. przerobić przednią żyłkę następnego ścis. ocz. 2-ej z rzędu kolei z środkową żyłką 3 pow. ocz., potem 1 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w 2-gie z rzędu ocz. — 5 kolej jak 4-a, lecz na zakończenie zamiast 1 pow. ocz. 3 pow. ocz., 1 ścis. ocz. w środkową żyłkę następ. 3 pow. ocz. Wykonywać dalej robotę jak dwie poprzednie koleje, przy czym odpowiednio do deseni i formy przypuszczać lub ujmować ocz. Przednie części wykonać tak samo podług fig. 57. Plecy i ramiona połączyć ścis. ocz. Następnie otoczyć pelerynkę 1 koleją ścis. ocz. Lewy przedni brzeg 3-ma kolejami ścis. ocz. na czym przyszyć guziczki, prawy zaś 2-ma kolejami ścis. ocz., przy czym wykonać dziurki do zapinania. Kołnierzyk wykonać tym samym ściegiem z 11-u kolei. Rękawy podług fig. 59 wstążeczką sznelową jak następuje: —

1 kolej: 3 ocz. opu-
ścić, potem ciągle na-
przemiać 1 ścis. ocz.
w każde ocz., 1 pow.
oczko, 1 oczko opu-
ścić.—2 kolej: 3 pow.
ocz., potem ciągle na-
przemiać: 1 ścis. o.
w następ. pow. ocz.,
1 pow. ocz., powta-
rzać ciągle poprze-
dną kolej, przybie-
rając lub ujmując
oczka, stosownie do
formy. Wykończone
rękawy zmarszczyć
w fałdy od * do * i
ścięgiem obrzucanym
stosownie do znaków
złączyć z peleryną.
Otoczyć dolny brzeg
przednich części i
pleców, oraz prawy
przedni brzeg i koł-
nierzyk stojący rzę-



Nr 8 i 9. Chusteczki do nosa z chińskiej krepy.



Nr 11. Suknia z su-
kna i materiału je-
dwabnego (do ryc.
Nr 16). Krój i opis
pierw. str. tabl. Nr
I, fig. 1—13.

Nr 12 i 13. Pelerynka (robota szydełkowa). Krój
odwr. str. tabl. Nr VIII, fig. 57—59.

Nr 10. Suknia z sze-
wjotu ozdobiona ha-
ftem maszynowym
do ryc. Nr 17). Krój
odwr. str. tabl. Nr
VII, fig. 47—56.



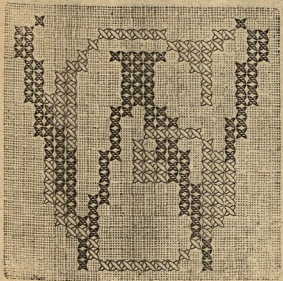
Nr 14. Kapelusz z fijołków,
wstążki i koronki.

dem pikotów wykonanych
wstążeczką sznelową ciągle
naprzemiać jak następuje:
1 ścis. ocz. w następ. ocz.,
1 pikot czyli 4 pow. ocz.
i 1 ścis. ocz. w 1 z tychże
i 2 ocz. opuścić. Wykoń-
czyć frendzlą podług ryc.

Kapelusz z fijołków wstążki i koronki.

Rycina Nr 14.

Złączyć kabłąk z drutu
48 c. dług. i pokryć tako-
wą wstążką jedwabną ręp-
sową koloru oliwkowego
6 c. szer. i pokryć girlan-
dą z fijołków. Wykona



Nr 18. Monogram
(ścieg krzyżowy).



Nr 16. Suknia z sukna i materiału jedwabnego (do
ryc. Nr 11). Kr. i op. pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—13.

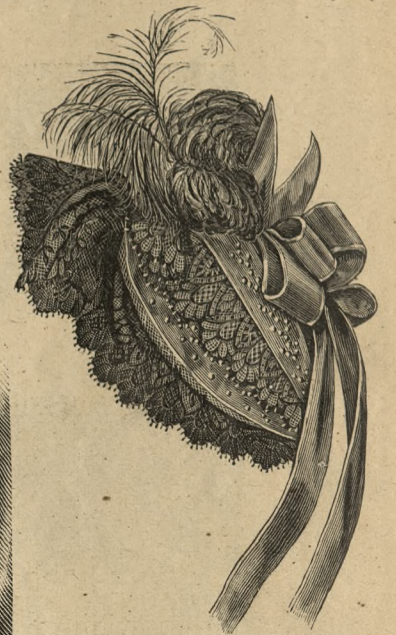
Nr 17. Suknia z szewjotu ozdobiona haftem maszy-
nowym (do ryc. Nr 10). Krój odwr. str. tabl. Nr VII,
fig. 47—56.

powtórny kabłąk z dru-
tu nieco krótszy w spo-
sób powyżej opisany
Połączyć takowe w tyl-
nej części. w przedniej
zaś odłączyć jeden od
drugiego odpowiedniej
długości drucikiem.
W tylnej części klamra
dżetowa 8½ cent. szer.
W przedniej części ko-
karda w rodzaju rozety
z wstążki koloru oliw-
kowego, czarna koronka
i dwie dżetowe szpilki.
Koronka do wiązania
umocowana z tyłu 16 c.
szer.

Kapelusz koronkowy.

Rycina Nr 15.

Foremka z druciku,
nieco szpiczasta z przo-



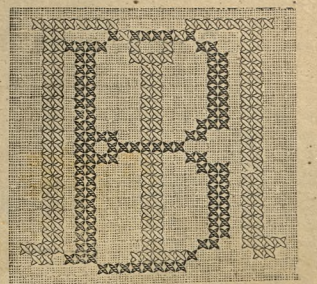
Nr 15. Kapelusz z koronki.

du, pokryta tiulem czar-
nym i objęta aksamitem
tegoż koloru Koronka
czarna 9 centim. szerok.
aksamit koloru ceglaste-
go, haftowany czarnymi
perłami. Strusie i fanta-
zyjne czarne pióra, kokar-
dy i wiązanie z wstążki
koloru ceglatego.

Suknia z szewjotu ozdo- biona haftem maszyno- wym.

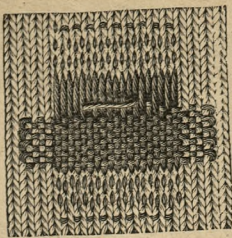
Rycina Nr 17 i 10.

Suknia z szewjotu kolo-
ru popielatego ozdobiona
haftem maszynowym wy-
konanym czarnym jedwa-
biem. Spódnica z pod-

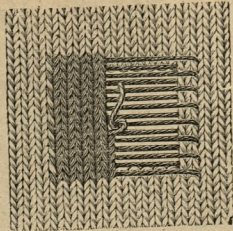


Nr 19. Monogram
(ścieg krzyżowy).

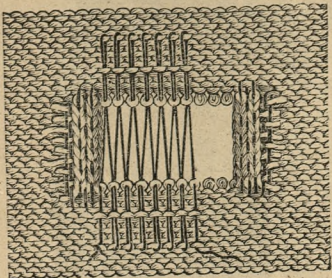
szewki 204 centymetrów obwodu, z przodu dług. 103 centim., z tyłu 106 centim., wykonana zwykłym sposobem. Falbana z szewjotu odpowiedniej długości 320 cent. obwodu, zaopatrzona w dolnym brzegu na 23 cent. wysokości muslinem i w przedniej części na 90 c. haftem maszynowym 19 c. wysokości. Ułożyć falbanę podług ryc. Stanik skrajać po dopełnieniu złożenia fig. 52 z szewjotu i podszewki podług fig. 47—54 po dwie części. Podług fig. 55 i 56 również po dwie części, ale złożone wzdłuż środka z uwzględnieniem konturu spodniej części rękawów. Części zaopatrzone podszewką z muslinu ozdobić haftem podług ryc. Zeszyć plecy, boczki i przednie części (po przyfastrygowaniu do podszewki) podług cyfr. Kołnierzyk



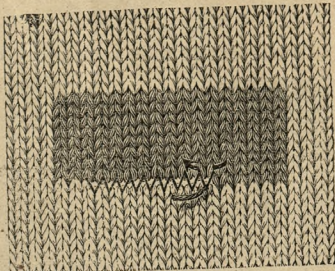
Nr 20. Sposób cerowania pończoch w kratkę.



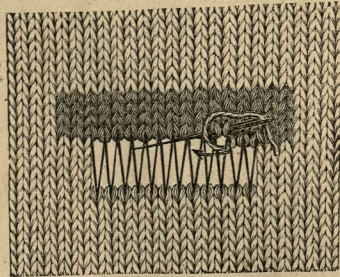
Nr 21. Sposób cerowania ściąganiem prążkowanym.



Nr 22. Przewleczenie nitek do cerowania, po odwrotnej stronie roboty (do ryc. Nr 23 i 24).



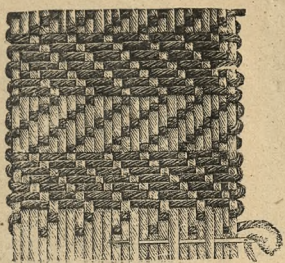
Nr 24. Zawlekanie oczek (do ryc. Nr 22 i 23).



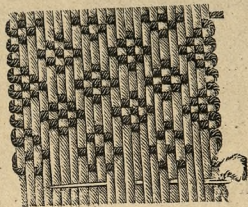
Nr 23. Naśladowanie oczek drutowych zwyczajnych (prawa strona roboty) do ryc. Nr 22 i 24.

Obiad na Niedziele.

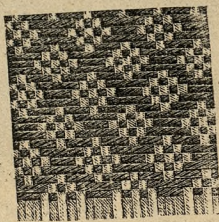
1. Zupa ze zwierzy-ny „purée“ z pasztecikami w kruchem cieście.
2. Sztufada z makaronem.
3. Kalafiory.
4. Pularda z kompotem z pomarańcz.
5. Krem.



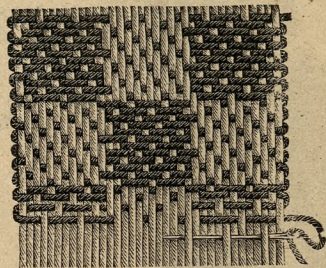
Nr 27.



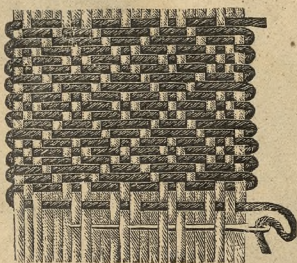
Nr 25.



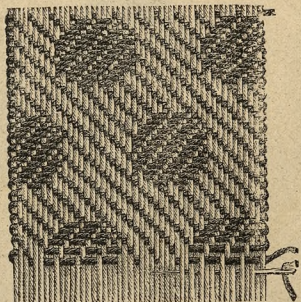
Nr 26.



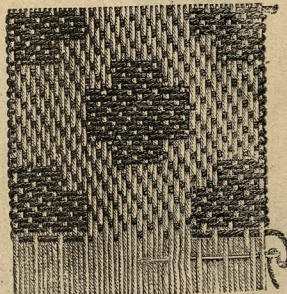
Nr 28.



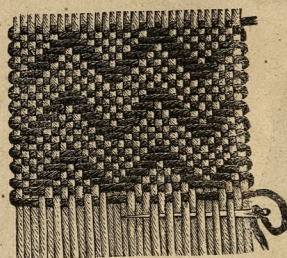
Nr 31.



Nr 29.



Nr 30.



Nr 32.

Nr 25 — 32. Sposoby przewleknięcia serwetek, ręczników i t. p.

wszyć w pasek od 46 do 47 a następnie w stanik. Po przykryciu szwu haftem pomiędzy plecami a drugim boczkiem wszyć od 39 do 41 odpowiedniej długości część czarnego jedwabnego repsu ułożonego w dwie fałdy i przyszyć poły, trochę namarszczone. w górnym brzegu, do których przedtem dopasować klapki od * do kropki. Stanik zapina się na hafteczki. Rękawy zmarszczyć w dolnym brzegu od 53 do *, zeszyć od 50 do 51, połączyć z mankietami od 50 do 53, górny brzeg ułożyć w fałdy, trafiając każde dwa + na jednej kropce i zmarszczyć od * do * i wszyć w stanik trafiając w 51 na 51.

Przedstawia rozmaite sposoby cerowania pończoch.

Rycina Nr 20 — 24.

Przedstawia rozmaite desenyki do ozdoby bielizny stołowej, ręczników i t. p.

Rycina Nr 5—32.

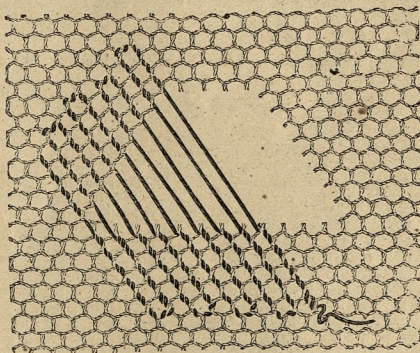
Sposoby cerowania tiulu.

Rycina Nr 33—35.

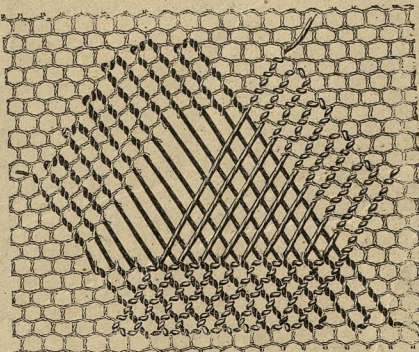
Przepisy gospodarskie.

Krem na prędcie z jaj i powideł.

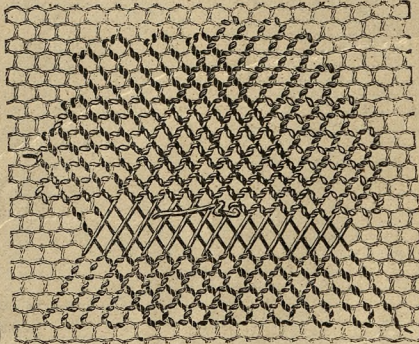
Na cztery osoby ubić 4 żółtka z czterech funtem miłkiego cukru, wło-



Nr 33.



Nr 34.



Nr 35.

Nr 33 — 35. Sposoby cerowania tiulu.

Doświadczenia praktyczne.

Kasza gryczana ugotowana na gęsto tylko z solą — rozłożona na grubość palca na półmisku a po wystudzeniu pokrajana w kwadraty 3 calowe i przysmarzona na patelni na gotującym się ale jeszcze nie rumianem maśle wybornie smakuje podana do barszczu, kapuśniaku, a nawet do zrazów.

L. C.

Korespondencya.

Odp. pani M. W. w Staszowie, gub. Radomska.

Wszelkie przepisy co do wypieku chleba i bułek znajdzie pani w 13 edycji „Jedynych praktycznych przepisów.“ — Forma i wielkość bułek zależy od przyjętej w danej miejscowości.

UWAGA.

Tablica krojów dołączona do Nr 10 Bluszcza służy też do numeru dziesiętego.